

Kir Bułyczow
Жизн за трицерапоса

ŻYCIE ZA TRICERATOPSA

ROZDZIAŁ 1

Chciałbym rzucić nieco światła na historię, która obleciała cały świat i znalazła odbicie (jak zawsze fałszywe) w środkach masowego przekazu, co znacznie zaszkodziło nieskazitelnej dotąd reputacji miasta Wielki Guslar.

Dobrze to podsumował Korneliusz Iwanowicz Udałow:

— Lepiej, żeby tych przeklętych dinozaurów nigdy nie było!

Skoro jednak były, trzeba mówić o nich prawdę i tylko prawdę.

Po pierwsze, nie istnieje żadne pasmo dzikich gór, po których grasują białe niedźwiedzie, o czym zapewniał swoich czytelników „Washington Post”. W okolicach Wielkiego Guslaru nie ma żadnych pasm górskich, o ile nie liczyć niewielkiego wulkanu, przeważnie uspiętego, który, owszem, czasami się budzi, ale te wybuchy w niczym nie zagrażają mieszkańcom miasta.

Po drugie, artykuł w „Le Monde” o tym, że największy z dinozaurów miał prawie czterdzieści metrów długości, jest bezczelnym dziennikarskim wymysłem. Opisany w tygodniku „Ogoniok” brontozaur był młodym osobnikiem, który nie sięgał nawet trzydziestu metrów.

Podobnym łgarstwem są zapewnienia, że rosyjscy uczeni hodują dinozaury na bazie genetycznego materiału znalezionej w Wielkim Guslarze.

I wreszcie zupełnie już bezczelnym wymysłem jest artykuł komunizującej angielskiej „Morning Star” opowiadający, że dinozaur zaatakował na głównej ulicy miasteczka uczennice wracające ze szkoły do domu.

Po pierwsze, jak wiadomo, nigdy żaden dinozaur nie chodził po głównej, inaczej Radzieckiej, ulicy Guslaru. Po drugie, tamtędy w ogóle nikt nie chodzi.

Teraz, kiedy autor dał już odpór niektórym najbardziej bezczelnym i nieprawdopodobnym rewelacjom, jakie się ukazały w mediach masowych, chciałby przejść do prawdziwego, rzetelnego i szczegółowego opisu wydarzeń.

Zacznijmy od tego, że na peryferiach miasteczka Wielki Guslar znajduje się porośnięte sosnami wzgórze o nazwie Bojarska Mogiła. Nie pochowano tam żadnego bojara, istnieją jednak przekazy mówiące, że miejscowy obszarnik Gulkin miał ulubionego konia o imieniu Bojar, którego kiedyś zawieziono na wyścigi do Wołogdy, tam stajenni rumaka napoili portwajnem, a w drodze powrotnej koń przeziębził się i zdechł. Gulkina, który wiązał z ogierem wielkie nadzieje, ogromnie to zasmuciło i kazał koniowi zbudować mauzoleum na wzgórzu, które wznosiło się akurat za jego kurnikiem. Mauzoleum z czasem popadło w ruinę czy spłonęło — nikt dobrze tego już nie wie, ponieważ wybuchła rewolucja i Gulkina rozstrzelano.

We wzgórzu są pieczary, do których czasem zakradają się chłopcy, choć rodzice im tego surowo zabraniają, bo jaskinie mają niezbyt pewne sklepienia.

Tym razem jednak do jaskini trafili wcale nie chłopcy. Do Sinickiego przyjechał w gości krewniak, który zakochał się w dziewczynie sprzedającej lody przy rynku. Sprzedawała lody, żeby zarobić na wyższe studia, będące jej marzeniem, ponieważ jeszcze w szkole zwyciężała na okręgowych olimpiadach I biologicznych. A raz to ją nawet zawieziono do Kazania — do szkoły młodych chemików.

Przy tym Marina miała świetną figurkę i ładne nóżki, nie brakowało jej też innych panięskich atrybutów, włączając w nie bujną grzywę rudych włosów. Przejść obojętnie obok niej mógłby jedynie ślepiec.

Mieszkała jednak w Guslarze jako sierota, wynajmując pokoik u obywatelki Swiniuchiny i prawie głodując.

Kiedy krewniak Siwickiego Arkadij zobaczył handlującą lodami Marinę, w jego piersi zapłonął ogień. Nie odważył się nawet do niej zbliżyć, ale zasmucony do głębi swoją nieśmiałością wrócił do domu i opowiedział o swoich mękach ciotce. Ciotka go uprzedziła, że Marina „nie jest dziewczyną z naszej sfery”.

Sama ciotka przyjechała kiedyś do Guslaru z Kozliatina, gdzie jej tatko pracował w milicji jako sierżant.

Następnego dnia Arkadij ponownie poszedł na plac Zdobywców i kupił jedną po drugiej szesnaście sztuk lodów. Siedemnastej mu Marina nie sprzedała, ale powiedziała:

— Z pewnością się pan przezięb i będzie mnie przeklinać.

— Nigdy w życiu!

— Oprócz tego nie wygląda pan na bogacza.

Arkadij nie wiedział, obrazić się za te słowa, czy nie, ale Marina rozwiała jego wątpliwości oznajmiając:

— Za pół godziny kończę pracę.

— I co? — zapytał niepewnie Arkadij.

— Niech pan pomyśli — zaproponowała Marina i odwróciła się do następnego klienta.

Tego dnia Arkadij odprowadził Marinę do domu. Po drodze odkryli, że mają ze sobą wiele wspólnego w gustach, upodobaniach i nawet poglądach na życie.

Następnego dnia, nie powiedziawszy nawet ciotce, że spotyka się z „dziewczyną nie z naszej sfery”, Arkadij poszedł z Mariną do kina. A gdy potem usiedli na nabrzeżu i zaczęli rozmowę o życiu, okazało się, że ich poglądy są niemal identyczne. W całej historii ludzkości nie było tak podobnych sobie ludzi, choć należeli do różnych sfer.

W środę poszli do lasu. Marina miała wychodne, a Arkadij gotów był wszystkie zajęcia porzucić dla rozmów o botanice i literaturze.

Daleko nie zaszli, ale wspięli się na Bojarską Mogiłę, żeby ze szczytu wzgórza przez sosnowe gałęzie popatrzeć na miasto i rzeczkę Guś.

Potem posiedzieli trochę pod sosną. Oboje mieli wielką ochotę się całować, ale żadne nie chciało się do tego przyznać.

Na szczęście dla młodych zaczęło łąć.

Trzeba się było schować przed deszczem i Arkadij w porę sobie przypomniał, że gdzieś tu powinna być jaskinia, do której zaglądał jeszcze w dzieciństwie.

Nie od razu ją znalazł — zmieniła się roślinność dookoła wejścia, a i on sam mocno podrosł.

Wejście podobne było do dziury wiodącej w jakiś barłóg i Marina nawet zapytała:

— A może tam siedzi niedźwiedź?

— Naiwne pytanie — odparł Arkadij. — Niedźwiedzi w naszych okolicach dawno już nie ma. — I pierwszy wlaźł do pieczary.

Marina się schyliła, wlaźła w otwór i zaraz potem chwyciły ją silne i delikatne ręce Arkadija.

— Chodź tutaj, usiądź przy mnie — zaproponował młodzieniec.

— A żmij tu nie ma? — zapytała Marina.

— Uciekły.

— Ale mimo wszystko się boję... — wyszeptwała dziewczyna.

— Jestem przy tobie! — stwierdził Arkadij. — Daj mi rękę. Jego palce zmacały w mroku jej dłoń i znieruchomiały,

Marina poraziła go prądem.

— Oj! — pisnęła dziewczyna.

Arkadij pociągnął i przytulił dziewczynę do siebie. Ponieważ było ciemno, Marina nie mogła opierać się jak należy — nie widziała, z kim walczy.

— Tylko proszę mnie nie całować! — wyszeptwała, jakby podpowiadając Arkadijowi, co

ma robić.

— Oczywiście — odpowiedział chłopak.

Jego wargi zupełnie przypadkowo zetknęły się z jej wargi. Całowali się, dopóki padało. Ponieważ jednak nie wiedzieli, czy deszcz się skończył, czy nie, całowali się prawie do wieczora.

Czasami, walcząc bardziej z własnym temperamentem niż z Arkadijem, Marina szeptała:

— Tylko nie to! Wszystko zepsujesz!

Arkadij nie bardzo rozumiał, co miałby zepsuć, ale brak życiowego doświadczenia i strach przed zrobieniem dziewczynie krzywdy, gasiły nieco jego zapały. Co prawda nie na długo. Ich wzajemne stosunki przypominały w tej chwili szturm fal na brzeg morza. Widać, jak fala wzbiera i gna na wał przybrzeżnego żwiru, ale kamienie ją zatrzymują, załamują i zmuszają, by się cofnęła z podwiniętym pianistym ogonem.

W końcu Marinę zmęczyła walka, w której kłęska była nieuchronna. Namacawszy leżący na ziemi kamień zwróciła się do Arkadija z żartobliwym uśmiechem:

— Jeżeli zaraz stąd sobie nie pójdziemy, rozkwaszę ci nos!

Do tego czasu oczy obojga na tyle już przywykły do ciemności, że młody człowiek doskonale widział kamień w szczuplutkiej ręczce sprzedawczyni lodów.

Zaśmiał się nieco sztucznie, ale się poddał, ponieważ w odwiecznej walce płci choć zawsze zwycięża mężczyzna, ale to kobieta decyduje o tym, kiedy i gdzie ma zwyciężyć.

Trzymając się za ręce wyleźli z pieczary i zmrużyli oczy.

Zachodzące słońce zabarwiło czerwienią pnie sosen, niebo było prawie białe, jak dziesięciokrotnie wyprana odświętna koszula, a ptaki już usnęły.

Pod nogami sprężyście chrzęścił dywan sosnowych igieł, z których tu i ówdzie sterczały czapeczki śliskich maślaków.

Młodzi ludzie ruszyli ze wzgórza w dół. Żeby odwrócić uwagę Arkadija od ogarniających go z coraz większą siłą smutnych myśli, Marina pokazała mu kamień, który zapomniała wyrzucić:

— Zwróć uwagę, co to takiego?

— Kamień — odparł Arkadij, w piersi którego wciąż jeszcze buszowały niespełnione żądze.

— Nie taki znowu zwykły kamień — odpowiedziała Marina, i oprócz wielu innych rzeczy interesowała się też minera — . — Kiedyś w tej okolicy szalały wulkany.

— A gdzie nie szalały?

Wyszli na dróżkę. Arkadij miał ochotę przynajmniej raz jeszcze pocałować ukochaną, ale z naprzeciwną, oczywiście, pojawiła się jakaś babina z pustymi wiadrami. No, powiedzcie sami, czego mogła szukać na przedmieściach Wielkiego Guslaru baba z pustymi wiadrami na przelomie tysiącleci?

— Ale ja nie wiedziałam, że Wielki Guslar leżał w strefie aktywnej wulkanicznie — powiedziała Marina. — Myślałam, że całą okolicę pokrywa gruba warstwa skał osadowych.

— O właśnie — stwierdził Arkadij, obsypując w duchu babinę tysiącnymi przekleństwami.

Bystra Marina w lot pojęła, o co chodzi: — Ty mnie zupełnie nie słuchasz, Arkasza. Nie podejrzewałam, że w twoim sercu jest miejsce na takie przesady.

— W moim sercu jest wszystko — odpowiedział Arkadij.

— Trzeba się będzie poradzić Lwa Christoforowicza — stwierdziła dziewczyna. — On wie wszystko.

— A kto to taki? — zapytał młodzieniec.

— Profesor Minc — powiedziała Marina. — Geniusz, któremu kilka razy już zamierzali dać Nagrodę Nobla. Od wielu lat mieszka w naszym mieście.

— Co w takiej dziurze miałby robić geniusz?

— W tej dziurze mnie poznałeś — stwierdziła Marina, nieco urażona za wszystkich mieszkańców Wielkiego Guslaru.

— Wolałbym cię spotkać w Moskwie.

— A znalazłbyś w Moskwie taką jaskinię? — roześmiała się dziewczyna.

Arkadij nie odpowiedział. Jak wszyscy zakochani na wczesnym etapie tej choroby był podejrzliwy i skłonny do pesymizmu.

Na ulicy Puszkina Marina pożegnała się z Arkadijem, któremu wydało się, że pożegnanie było bardzo chłodne.

ROZDZIAŁ 2

Rozstawszy się z Arkadijem Marina wyruszyła do profesora Minca, którego spotkała na podwórku. Już nowe pokolenie graczy w domino wbijało w ziemię mocny, stary stół, a profesor z Korneliuszem Udałowem spoglądali oczami znawców na zażarte starcie i z trudem powstrzymywali się od dawania rad.

— Co to za maniera — odezwał się profesor, ujrawszy dziewczynę i pocałował ją w czoło. — Po co sobie zapuszczasz te dredy? Co, chłopaki cię przez to bardziej lubią?

— Oni mnie nie lubią — odparła Marina. — Oni się do mnie przystawiają.

Siadając z emerytami na ustawionej pod krzakiem bzu ławeczce, Marina pokazała im znaleziony przez siebie kamień.

— Skąd to masz? — zdziwił się Minc.

— Marinka z Arkaszką Sinickim schowali się przez deszczem w pieczarze na Bojarskiej Mogile — odpowiedział Udałow za dziewczynę. — Stara Łóżkina już wszystkim zdążyła opowiedzieć.

— Korneliuszu! — skarcił profesor przyjaciela. — Zaczynasz się zachowywać jak wiejska plotkara.

Obrócił kamień w palcach, powąchał go, drapnął paznokciem i powiedział:

— Mniej więcej siedemdziesiąt milionów lat temu ten kamień był lawą. Ale ponieważ niczego nie wiem o miejscach wylewu lawy w naszym rejonie... Gdzieś ty go znalazła?

— Myślę — znów za dziewczynę odpowiedział Udałow — że gdzieś tam w pieczarze.

— Wujku Korneliuszu, jak się nie przestaniecie wtrącać!.. — rozgniewała się dziewczyna i potrząsnęła głową tak, że rude dredy otoczyły jej główkę złocistym nimbem.

Dawno już czuła się głupio z powodu lekkomyślnego postępu — dredy zrobiła sobie w wyniku zakładu, podpuszczona przez Emmę Koszkiną, swoją najserdeczniejszą nieprzyjaciółkę.

Teraz Emma nosiła fryzury od Cardina, a Marina — która wygrała od Emmy kasety Michela Jacksona, nie mogła się zdecydować na obcięcie dredów, które zresztą z opowiadaną tu historią nie miały niczego wspólnego.

Życie w małym miasteczku ma wiele zalet, ale nie jest też pozbawione kłopotów. Człowiekowi się zdaje, że niepostrzeżenie spotkał się z przyjacielem, a okazuje się, że kilka emerytek rozniosło wieść wcześniej niż zdążyło się wrócić do domu.

— Kiedyś — stwierdził profesor Minc głosem pełnym zadumy, trzymając w ręku kamień niczym Hamlet czaszkę Yoricka — burzliwe potoki płynnej lawy niosły się ulicami naszego miasteczka, pochłaniając ciała bezradnych dinozaurów...

— No, teraz już przegiąłeś — stwierdził rzeczowo Udałow. — Naszego miasta jeszcze wtedy nie było, choć nie będę przeczył jego zasługom wobec historii.

— Jesteś bezbarwnym i przyziemnym człowiekiem — stwierdził Minc.

Marina milczała, choć w głębi duszy skłonna była się zgodzić z profesorem.

— ..jak po ulicach Pompei... — ciągnął Minc. — Nie zostawiły na swej drodze ani jednej żywej istoty. Nawet komara. Ty co, Marinko, chcesz, żebym wysłał tę próbkę do analiz?

— A po co? Od jednego rzutu okiem określiliście wiek próbki i jej pochodzenie.

— A jednak zostaw ten kamyczek u mnie — poprosił wielki uczoney. — Zajmę się nim, kiedy znajdę chwilę czasu. Każdy Guslar potrzebuje swojej Pompei.

Kiedy Marina ruszyła do domu, Minc rzucił za nią:

— Dziś podobają mi się twoje świdy. Jutro, kiedy wasze uczucie zostanie poddane próbie, lepiej będzie pokazać mu się w krótkiej, ale eleganckiej fryzurce.

— Wujku Lowa, wy niczego nie rozumiecie — odpowiedziała Marina.

ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia zakochani się nie spotkali, ponieważ Marina musiała rano pojechać do bazy po towar, a tam akurat rozszalała się kontrola skarbową i dziewczyna musiała poczekać do obiadu. Arkadij trzykrotnie przychodził na miejsce, ale przy kramiku nikogo nie było. Pech zakochanych polegał na tym, że nie znali swoich adresów i numerów telefonów. Wydawało im się, że w Guslarze lepiej nie tracić się z oczu.

Arkadij przeżywał rozłąkę mocniej, bo nie miał nic do roboty, a Marina trochę bardziej łagodnie, ponieważ najpierw była zajęta w magazynie, a potem pobiegła do fryzjerki i namówiła Alonę, żeby ją przystrzygła bez kolejki. Marina chciała zachować choć trochę nieszczęsnych włosów i pozbyć się przeklętych dredów. Niepokoili ją wypowiedź profesora o próbach, którym będzie poddane jej uczucie.

Kiedy wyszła od fryzjerki, nie była pewna, czy nie powinna przykleić świdy z powrotem — przecież Arkusza pokochał ją z dredami! Wątpiła, czy jego uczucie będzie takie, jak poprzednio. Teraz była podobna do chłopaka.

Dręczyła ją niepewność. Do wieczora było jeszcze daleko, dzień był parny, w powietrzu wisiała burza. Dopiero teraz dobrze byłoby w jaskini, gdzie z Arkadijem mogliby się ukryć przed burzą, pomyślała Marina — i przestraszyła się tej myśli.

Obok niej przebiegł Maksymek Udałow, wnuk Korneliusza Iwanowicza.

— Minc cię szukał — oznajmił chłopak. — Coś ty ze sobą zrobiła?

— A co?

— Zupełnie nie jesteś podobna do siebie. Rodzona matka by cię nie poznała.

— Nie mam matki! — odcięła się dziewczyna.

Chłopiec pobiegł dalej, a Marina zatrzymała się na środku ulicy. Jeżeli nawet mali chłopcy cię potępiają, to Arkusza na pewno się od niej odwróci.

W takim to nastroju Marina poszła odwiedzić profesora.

Profesor spojrział na nią uważnie z bliska i powiedział:

— Choć nie za bardzo jesteś do siebie podobna, ale efekt jest raczej pozytywny niż negatywny.

Oczywiście za bardzo jej tym nie pocieszył.

— Nie spieszysz się gdzieś? — zapytał Minc.

— Nie mam się dokąd spieszyć — odparła smętnie Marina.

— No to popatrz na swój kamień pod odpowiednim powiększeniem.

Marina wcale nie miała ochoty na przyglądanie się kamieniowi, ale pochyliła się nad mikroskopem. I zobaczyła, że jego powierzchnia poprzecinana jest długimi rzadkimi kanalikami i bruzdami.

— Widzisz?

— Widzę — odpowiedziała obsmyczona dziewczyna.

I pomyślała: a może kupić perukę? Pojadę jutro do Wołody i kupię perukę, a jak mnie wywałą z roboty, to kij im w bok! — I co widzisz?

— Perukę — odpowiedziała machinalnie Marina. — Jak pan myśli, profesorze, czy w Wołogdzie można kupić przyzwoitą perukę?

— Moda na peruki minęła w osiemnastym wieku — odparł profesor. — Ale niektóre łyse kobiety mają się takich podstępów.

— To właśnie ja jestem taką kobietą.

— Jesteś niemądrym dzieckiem — orzekł profesor. — Patrz w mikroskop i mów mi zaraz, co widzisz. A jeżeli twój młody przyjaciel nie jest idiotą, to się tylko ucieszy, że znów wyglądasz jak człowiek... Więc cóż widzimy na tym obrazku?

— Nie wiem.

— A spróbuj sobie wyobrazić, że to przedmiot organiczny.
— Nie mogę.
— To ja ci powiem — nie wytrzymał Minc. — Widzimy odcisk jakiegoś zwierzęcia, które zostawiło go w pieczarze wiele milionów lat temu.
— To niemożliwe.
— To oczywiście niewielki kawałek skóry... a czemu uważasz, że to niemożliwe?
— Bo to głupie — odparła Marina, myśląc oczywiście o peruce.
— Jeżeli znaleźliśmy kawałek skały z odciskiem skóry dinozaura, to może się okazać, że dokonaliśmy epokowego odkrycia. Idziemy zaraz do tej pieczary. Nie boisz się?
— Chodźmy — odparła obojętnie dziewczyna.

Akurat wtedy wyszedł na podwórko Udałow, żeby się zrelaksować, bo Ksenia właśnie miała atak złego humoru. Korneliusz Iwanowicz z chęcią przyłączył się do ekspedycji.

— W historii paleontologii zdarzały się już odkrycia takie, jak nasze — mówił w drodze Lew Christoforowicz. — Najczęściej jednak odciski żywych organizmów trafiały się w osadach wapiennych lub kredowych, taki los spotykał więc zwierzęta, które utonęły w morzu. Wulkaniczny tuf, z jakim mamy do czynienia w naszym przypadku, nie jest najlepszym materiałem do zachowania takich odcisków, jak na przykład znany wszystkim odcisk archeopteryksa. Tuf ma zupełnie inną siatkę krystaliczną...

Marina kilkakrotnie usiłowała zawrócić, Minc jednak mocno trzymał ją za rękę. Burza nadciągała coraz szybciej i rozpętała się nad głowami naszych eksploratorów, kiedy stanęli przed wejściem do pieczary.

Minc posapując wpakował się do środka, za nim weszła Marina, a na końcu Udałow.

— Ciasno tu — stwierdził Udałow.

Minc włączył latarkę i od razu wyjaśniło się, czemu jest tak ciasno. W pieczarze siedział Arkadij Sinicki.

— Co ty tu robisz? — zdziwił się Udałow.

Marina spróbowała wyskoczyć na deszcz, ale Udałow ją zatrzymał.

Młody człowiek mrużył oczy w ostrym świetle latarki i właściwie niczego nie widział.

— Kto tu jest? — zapytał drżącym głosem.

— Znane wam osoby — odpowiedział sucho Udałow. — Ja, Lew Christoforowicz Minc i jeszcze jedna dziewczyna.

— Jaka dziewczyna? — głos Arkadija znów drgnął zdradziecko.

Marina milczała. Miała ochotę skryć głowę między kolanami. Nie zdążyła jednak, ponieważ profesor Minc skierował na nią snop światła latarki, które ukazało krótko ostrzyżoną głowę dziewczyny.

— O! — westchnął Arkadij.

— Co, nie poznałeś? — zapytał Minc.

— Nie powiedziałbym — odparł Arkadij. — Sam pan rozumie... ona zmieniła wygląd. Jest jeszcze ładniejsza, niż przedtem.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała drżącym głosem Marina.

Arkadij energicznie kiwnął głową. Wzięty w krzyżowy ogień pytań młodzieniec wyjaśnił, że siedzi już w jaskini trzecią godzinę, ponieważ doszedł do wniosku, że jeśli Marina nie wie, gdzie go spotkać, to powinna sobie przypomnieć, gdzie byli razem ostatnio.

Minc skierował snop światła latarki na ściany i sklepienie jaskini. Wodził promieniem po nierównych ścianach, młodzi ludzie milczeli, a Udałow głośno sapał. Chciałby wydać sąd o tym wszystkim, nie wiedział jednak jeszcze, jaki.

— Patrz! — zwrócił się surowym głosem Minc do przyjaciela.

Udałow popatrzył na ścianę. I niczego nie zobaczył. Młodzi ludzie tymczasem coś tam szeptali do siebie. Składali sobie wzajemne wyjaśnienia.

— Obawiam się, że to odkrycie o światowym znaczeniu — powiedział Minc — ale jeszcze

nie jesteśmy na nie gotowi.

— Wyjaśnij — poprosił Udałow.

— Popatrz uważniej — polecił mu Minc. — Cała ściana pokryta jest brudami, zadrapaniami i nierównymi występami. Co to takiego?

— Co to takiego?

— Gigantyczny odcisk dawno wymarłego stworzenia — wyjaśnił Minc. — Tylko popatrzcie!

Powiodł promieniem latarki po ścianie, a potem przeszedł wzdłuż niej zwięzającym się korytarzem. Szerokość przejścia aż do tego miejsca pozwalała mu poruszać się w postawie wyprostowanej, a promień światła wylał z mroku wciąż tę samą strukturę — odcisk skóry.

— A teraz popatrzcie tutaj! — zawołał profesor i skierował strumień światła sobie pod nogi. — Widzicie?

— Widzimy — stwierdził Udałow. — Obraz nieco inny, ale podobny.

— A teraz naprzód i nieco w prawo. Wszyscy spojrzeli naprzód i nieco w prawo. I zobaczyli okrągłą jamkę. Niezbyt głęboką.

Minc poświecił w głąb jamy i Udałow wyciągnął z niej puszkę po piwie — najwyraźniej pieczarę odwiedzał ktoś bardzo niedawno.

— To nie my! — zaprzeczyła Marina.

— Wiem — odparł Minc. — Popatrzcie w lewo. Kolejne wgłębienie. Niewielka jama.

— Nikt się jeszcze nie domyślił? — zapytał Minc.

Nikt się jeszcze nie domyślił. Wszyscy czekali na wyjaśnienia profesora.

— Przed wieloma laty — zaczął Minc — w Pompei zaczęto znajdować dziwaczne puste miejsca w skamieniałym popiele, który niegdyś zasypał to miasto sześciometrową warstwą przynosząc śmierć wszystkiemu, co żyje. I w głowie jednego z archeologów zrodziło się pytanie — co zobaczymy, jeżeli zapełni się taką kawernę gipsem. Przyniesiono gips, zapełniono puste miejsce, a gdy usunięto warstwę skamieniałego popiołu, okazało się, że był to pełny i dokładny odcisk człowieka, który zginął gwałtowną śmiercią. Popiół zachował odcisk ciała, ponieważ potrzebny był czas, by płomień strawił zwłoki. Człowiek spłonął, a popiół skamieniał. I wyszedł z tego jakby negatyw człowieka — pustka w tym miejscu, gdzie znajdował się w chwili śmierci. Takich negatywów w Pompei znaleziono dziesiątki — ludzie i zwierzęta...

Minc umilkł. Promień latarki tknął ścianę i znieruchomiał.

Wszyscy patrzyli na krąg światła.

Czyżby w tym właśnie miejscu przed milionami lat spłonął żywcem jakiś dinozaur? Wielki dobroduszny stwór, który wcale nie zamierzał wymierać? Żyłby sobie i żył, składał jaja, żuły sobie paprotniki — a tu wulkan, trzęsienie ziemi, powódź...

— Więc jakże to? — zapytał Arkadij, który pierwszy odzyskał mowę. — Wychodzi na to, że siedzimy w dinozaurze?

— Nie jest to wykluczone — odpowiedział Minc. — Pytanie tylko, jak to sprawdzić?

— Nic prostszego — odezwał się Udałow. — Trzeba napełnić pieczarę płynnym gipsem, poczekać, aż stwardnieje — i rozkopać wzgórze, a to, co zostanie, będzie dinozaurem!

— Oj! — szepnęła Marina. — Byłby to pierwszy w świecie dinozaur, którego ludzkość ujrzy na własne oczy!

— Podoba się wam taki wariant? — zapytał Minc Arkadija, a może i samego siebie. — Bo mnie wcale nie. Przecież wcale nie wiemy, co kryje się w tym pagórku. A jeżeli dinozaur nie był sam? Może tu, za ścianką, kryje się drugi? Kiedyś chyba słyszałem, że w tym wzgórzu są pieczary. Nie jedna pieczara, a kilka...

— Masz rację, Lwie — zgodził się z nim Udałow. — Łaziłem tu jako dziecko, tylko nie po tej pieczarze, a po innej.

— Czyli przede wszystkim powinniśmy zadbać o zbadanie tych pustych miejsc. Należy je

zbadać — a nie zniszczyć.

ROZDZIAŁ 4

Wracali do miasta dwiema parami.

Pierwsi szli Minc z Udałowem. Wymieniali pomysły i idee, rodzące się w ich niespokojnych głowach.

Z tyłu wlekli się Arkadij z Mariną.

Nie rozmawiali o dinozaurach i jakby nie rozumieli znaczenia znaleziska. Na ich rozmowę składały się wyłącznie pytania. Spowiedzi i tak były wiadome.

— Ty rzeczywiście przyszedłeś tu z mojego powodu?

— A czemu ty się ostrzygłaś?

— Szukałeś mnie?

— Jak się domyśliłaś?

A tymczasem nad miasto spłynął zmrok, ale na odwiedzenie Liebiedzińskiego nigdy nie jest za późno.

Lebiedziński został merem miasteczka bardzo niedawno, zwyciężywszy w zaciekłym boju sześciu pozostałych kandydatów, dlatego że był uczciwy i obiecał, że takim pozostanie zawsze.

Jeszcze jako wyrostek stanął na czele organizacji „Młodych Orląt”, której członkowie odbywali pielgrzymki do miejsc wojennej chwały. Co prawda, wojenna chwała od dawna omijała Wielki Guslar szerokim łukiem, ale właśnie Toli Liebiedzińskiemu przypadł w udziale zaszczyt odkrycia w guslarskich lasach wspólnej braterskiej mogiły polskich najeźdźców, zamrożonych tam przez miejscowych przewodników na początku XVII wieku. Jeszcze jako uczeń dziesiątej klasy szkoły średniej Tola Liebiedziński ściągnął do Wielkiego Guslaru delegację z Zielonej Góry, z której pochodzili ci właśnie Lachowie.

Następnie obrotny wyrostek spróbował załatwić uznanie Zielonej Góry i Wielkiego Guslaru braterskimi miastami i trzykrotnie jeździł w tym celu do Polski, a raz do Moskwy, gdzie dotarł do samego Andropowa, cały jednak pomysł upadł, kiedy pogrążony w działalności społecznej Tola zawałił egzaminy w ósmej klasie i został na drugi rok, choć za chłopakiem ujęły się „Amnesty International”, bawarska Partia Zielonych i pionierska organizacja z Moskwy. Po tym początkowym niepowodzeniu, które stało się znane całemu miasteczku, ojciec zawiózł wyrostka na wieś, żeby tam przygotował się do egzaminów wstępnych. Trzykrotnie Tola próbował ucieczki z zesłania, ale próby kończyły się niepowodzeniem. Ojciec tropił go z psami, prał i ponownie sadzał do książek. Tymczasem niedbałość i spory wewnętrzne w organizacji „Młode Orląta” doprowadziły do utraty polskiego kurhanu, Zielona Góra pobratała się z Frankfurtem nad Menem, a o obrotnym wyrostku wszyscy zapomnieli.

Szkołę mimo to ukończył i został studentem Wołogodzkiego Instytutu Kultury.

Nie czas i miejsce po temu, żeby opowiadać o kolejnych burzliwych losach Toli Liebiedzińskiego. Najważniejsze elementy ujawniły się już w historii z Polakami: uporczywe wdzieranie się na Olimp i nieuchronny upadek w przepaść. W pewnym sensie Tola Liebiedziński miał wiele wspólnego z antycznym Syzyfem. Przez całe swoje życie toczył pod górę głaz życiowego sukcesu, ale ten zawsze w ostatniej chwili spadał w dół, pociągając Tolika za sobą.

Na ostatnim roku studiów, kiedy nie było już sposobu, żeby cokolwiek zawałił, bo praca w Komsomole załatwiała mu każdy egzamin, Tola zakochał się w najbardziej znanej dziewczynie na roku, córce drugiego sekretarza miejskiego komitetu partyjnego. Oleńka też się zakochała i studencka para postanowiła się pobrać. Ale na dwa tygodnie przed weseliskiem, kiedy wszyscy młodzi karierowicze na roku obgryzali z wściekłości paznokcie, grupa zorganizowała turystyczny wypad w plener. W nocy z soboty na niedzielę studenci

śpiewali przy ogniskach, popijali, weselili się i kąpali przy księżycu. Tola nie był przyzwyczajony do picia i stracił nad sobą kontrolę. Poszedł w krzaki z najlepszą przyjaciółką Oleńki, żeby omówić szczegóły zbliżającego się wesela. Niespodziewanie dla samych siebie Tola i Katierina rzucili się sobie w objęcia. Oleńka, która poszła poszukać narzeczonego, usłyszała dobiegające z kępy krzaków westchnienia i pojękiwania i na wszelki wypadek tam zajrzała.

I tak Tola stracił narzeczoną, mieszkanie w Wołogdzie i dobrą pracę.

Na domiar wszystkiego, żeby nie wylecieć z Komsomołu, musiał się ożenić z Katierina, która spodziewała się dziecka. Nie mogła, zdracznicy jedna, poczekać do dyplomu!

Katierina nie miała mieszkania w Wołogdzie i młodzi musieli się przenieść do Wielkiego Guslaru, do ojca. Tola zaczął pracować w szkole. Wykładał naukę o społeczeństwie nienawidząc smarkaczy, ale uczył się na nich kierowania masami.

Dzieci też go nie lubiły, wracał więc ze szkoły do domu z gazowym pistoletem i kijem bejsbolowym. Po napaści ze strony uczniów trzeciej gimnazjalnej Katierina kupiła mężowi kewlarową kamizelkę.

Kamizelkę kupiła od wujka — okazało się, że miała w mieście krewniaka. Początkowo wuj był lejtnantem w milicji, potem zaczął pracę jako ochroniarz u pewnego biznesmena. Kiedy biznesmen został zabity, wujek odziedziczył po nim interesy. Katierinę bardzo pokochał i kupił jej jeepa, żeby mogła wozić dzieci i pitbulteriera na spacer.

Kiedyś zwrócił się do Tolika:

— Trzeba miasto wziąć w garść. Łobuzów zebrało się tylu, że nie sposób się z nimi uporać.

Tola nie zaprzeczył.

— Liczę na ciebie — powiedział wujek. — Wymyśl program, spodobaj się ludziom, pchniemy cię do Dumy, albo i wyżej.

I tak Tola został członkiem miejskiej rady, potem zastępcą mera, a na koniec merem. Uczciwym i biednym mężem nieuczciwej i bogatej Katieriny.

Już jako wybraniec jeździł do Wołogdy z petycją.

I trzeba trafu — spotkał swoją niegdysiejszą narzeczoną. Oleńka pracowała tymczasowo jako sprzątaczką w domu dziecka sponsorowanym przez wujka Wienię. A Tola przywiózł tam prezenty — stary komputer, telewizor i pluszowe zabawki.

Oleńka usiłowała się schować, ale Tola szybko ją zauważył.

— Co z ojcem? — zapytał przede wszystkim.

— Siedzi na nędzarskiej emeryturze — odpowiedziała Oleńka.

W jej spojrzeniu było coś psiego — jakby to nie ona doniosła kiedyś na Tolika, tylko on ją przyłapał na niecnym postępk.

Kiedy mer Lebiediński wrócił do Guslaru, zjawił się u niego wujek Wienia i oznajmił, że zamierza wybudować niewielki, skromny pałacyk na porośniętym sosnami wzgórzu, które nie wiedzieć czemu wszyscy nazywali Bojarską Mogiłą.

— Załatwi się — uznał mer. — Przepchniemy wniosek przez odpowiednie instancje. Trzeba tylko będzie dać temu i owemu w łapę.

Odprawiając wujaszka do drzwi gabinetu zaczął się zastanawiać, jak życzenie wujka obrócić na swoją korzyść. Budowa będzie nielicha i dobrze byłoby kawał tego tortu zostawić sobie, ale trzeba by to zrobić tak, żeby wyborcy nadal uważali go za bezinteresownego bojownika o szczęście ludu. Nie bez powodu przecież w zeszłym miesiącu uchwalono bezpłatne przejazdy autobusowe dla weteranów wojny fińskiej i walk na jeziorze Hasan w 1938 roku. Jeden taki nawet się znalazł i zrobiono mu fotografię do gazety.

O szóstej pięćdziesiąt Tola Lebiediński ruszył do domu. Samochód zwolnił — niech ludzie zobaczą, jak sam jeden, bez ochroniarzy, chodzi po ulicach miasta. Każdy może podejść i złożyć na jego ręce skargę. Co prawda, dla uniknięcia prowokacji o trzy kroki z tyłu szli dwaj

chłopcy z obstawy wujaszka Wieni i pałkami odpędzali natrętnych interesantów.

Robili to z uśmiechami na ustach i sypali przy tym żartami.

Wieczór był przepiękny. Bywają w sierpniu takie cudowne, nieskazitelnie bezwietrzne wieczory, kiedy cała przyroda kąpie się w promieniach zachodzącego słońca, a przywódcy ludu pragną być dobrzy i mają serca pełne szlachetnych zamiarów.

Do mera nikt nie podchodził, bo ludzie nie lubili, jak chłopaki wujka Wieni puszczały pałki w ruch.

Do domu było z dziesięć minut spacerkiem, ale mer się nie spieszył.

Zaszedł na brzeg rzeki i usiadł na ławeczce. Ławeczki niedawno pomalowano i mer był dumny z tego niewielkiego, ale widocznego osiągnięcia.

Rzeka powoli toczyła wody, latały nad nią mewy, a czasami rozchodziły się po niej kręgi, kiedy z wody wychylał się pysk szczupaka czy suma. Wędeczkę by teraz, pomyślał mer, choć nigdy jeszcze nie łowił ryb. Sprawy... sprawy...

Ostatnio Anatolij Borysowicz lubił myśleć na zapas.

Przecież stanowisko mera w Wielkim Guslarze, to jeszcze nie szczyt marzeń życiowych. Trzeba iść za ciosem. Będziemy brać Wołogdę, a potem zajmiemy się Moskwą. Może ponownie odszukać polską mogiłę i sięgnąć po laury międzynarodowego działacza na rzecz przyjaźni i pojednania?

Nie należy myśleć, że Liebiediński nie kochał pieniędzy. Owszem, kochał, ale bardziej ukochał władzę, zwłaszcza we własnych rękach. Starał się nie naśladować Katieriny, której z błogosławieństwem wujka całkiem już odbiło i nawet w sklepach przestała płacić. Nie wiedziała jednak, że wierna stara szkapa — sekretarka Liebiedińskiego, Marfuta — obchodziła pod wieczór sklepy obrabowane przez Katierinę i spłacała zadłużenie. Wszyscy obywatele guslarscy doskonale o tym wiedzieli i kwitowali to dobrodusznymi uśmiechami.

Tymczasem mer zamyślił się głęboko.

Ochroniarze smętnie popalali na boku i opędzali się od komarów.

Nad rzeką uniosły się wieczorne mgły.

O ósmej trzydzieści, gdy zaczęło już zmierzchać, do ławeczki podeszli czterej ludzie.

Ochroniarze się ożywili. Wyjęli pałki. Wydali ostrzegawcze okrzyki.

— Anatoliju Borysewiczu... — zaczął profesor Minc. — Musimy niezwłocznie porozmawiać.

Ochroniarze podeszli bliżej, żeby przepędzić natręta, który ośmielił się zanadto zbliżyć do wybrańca narodu.

— Zostawcie! — rozkazał Liebiediński. Miał ochotę na rozmowę. Obojętnie o czym.

Udał się naprzód.

— Tolik — powiedział. — Pamiętasz wujka Korneliusza? Z moim synem do jednej klasy chodziliście.

Była to prawda, choć trzeba powiedzieć, że każdy w miasteczku z kimś się uczył w jednej klasie.

— A jakże! — Tolik uśmiechnął się zagadkowo, prawie nieśmiało. Uśmiech ten starannie ćwiczył przed lustrem. — Wujek Korneliusz. A ci ludzie są z wami?

— Ze mną. Sprawa jest poważna, wagi międzynarodowej.

— To proszę jutro po jedenastej. O dziesiątej mam naradę w związku z rozpoczęciem sezonu grzewczego.

— Pięć minut — stwierdził Minc. — Rzec w tym, że znaleźliśmy dinozaura.

— Naprawdę? — zapytał Tolik. Nie uśmiechnął się przy tym, bo nikt z czwórki nie wyglądał na stukniętego, choć wszyscy byli bardzo poruszeni.

— Znaleźliśmy pierwszego na świecie całego dinozaura — powtórzył Minc. — I najpewniej nasze miasto zasłynie na cały świat, o ile uda nam się tego dinozaura odtworzyć.

— A co się z nim stało? — zapytał Tolik. — Znaleźliście kości, czy co?

— Wyobraźcie sobie miasto Pompeje — wtrącił się do rozmowy Arkadij. — I wówczas wszystko zrozumiecie.

Na szczęście dla petentów Anatolij Borysowicz przed dwoma tygodniami wrócił z Neapolu, gdzie brał udział w konferencji merów niewielkich miasteczek. Nie bardzo mu się tam podobało, bo było gorąco i drogo, a Włoszki jak jedna ciemnoskóra i malowane, niczym w Rumunii, gdzie też bywał na sympozjach dotyczących problemów małych miast.

— Pompeje sobie wyobrażam — odpowiedział mer. — I jeżeli macie na myśli lupanarium, to odwiedziłem je w charakterze wycieczkowym. Nie wywarło na mnie żadnego wrażenia.

— Co ma do tego lupanarium?! — wykrzyknął Minc, który znał łacinę równie dobrze, jak wszystkie inne języki naszej planety. — Mowa o trupach i popiele.

I Minc opowiedział Liebiedzińskiemu o znalezisku.

Żywa wyobraźnia mera natychmiast zaczęła rysować wizerunki dinozaurów unieruchomionych we wnętrzu wzgórza. Postanowiono, że obejrzy się pieczary rano. Spotkają się o dziewiątej i od razu udadzą się na miejsce.

Lebiedziński pożegnał Minca i Udałowa uściskiem dłoni, pozostałym kiwnął głową i ruszył do domu, zabierając swoich posepnych ochroniarzy.

W jego głowie ściagały się myśli i wizje.

Doskonale wiedział, że Minc i Udałow nie kłamali. Na peryferiach powierzonego pieczy Liebiedzińskiego miasteczka czekały na swoje odkrycie odciski żywych dinozaurów.

W domu polecił córeczce, żeby mu poszukała atlas kopalnych zwierząt i zaczął go kartkować, wybierając same najbardziej okazałe dinozaury. Jakby można było zamówić takie, jakich się potrzebuje. Anatolij Borysowicz zapragnął mieć trzydziestometrowego diplodoka i Tyranosaurusa Rexa — najgroźniejszego drapieżnika ery mezozoiku.

— Tolik, co cię tak zajęło? — zapytała Katierina, która nielicho przytyła w biodrach i na twarzy, a także chronicznie zaniedbywała uczesanie.

Czasami Tolik z trwogą myślał o chwili, kiedy zostanie prezydentem Rosyjskiej Federacji i będzie musiał stanąć podczas inauguracji obok małżonki. Strach pomyśleć! Może zrezygnować z prezydentury, dopóki nie jest za późno?

— Dzwoniła ciocia Rimma — oznajmiła Katierina. Ciocia Rimma była żoną wujka Wienera. — Pytała, kiedy zacznie się budowa?

— Jaka budowa? — zapytał mer, zachwycając się stegozaurem. Trzeba będzie odkopać stegozaura. Niezłe bydło!

— No, pałacik na Bojarskiej Mogile przecież — przypomniała mu Katierina. — My też moglibyśmy się tam pobudować.

— Zwariowałaś, czy co? Na moim stanowisku jestem jak pod mikroskopem! Muszę być kryształowo czysty!

— To załóż konto i zapisz domek na mnie — poradziła mu Katierina.

— A ja się zastanawiam — odpowiedział mer — czy nie lepiej zrobić na wzgórzu park rozrywki dla dzieci? Jak u Disneya?

— Ty mi tu przestań oczy mydlić! — sarknęła Katierina. — A może postanowiłeś sprzedać komuś to wzgórze? Przyznawaj mi się tu zaraz!

— Trzeba myśleć perspektywicznie — odpowiedział mąż, ściągając brwi niczym Czapajew na wiszącym u niego w gabinecie portrecie. — Znosi się na światową sensację. Jeżeli Minc ma rację — twój wujek będzie mi buty lizał!

Ostatnie zdanie ogromnie Katierinę wystraszyło. I zrozumiała, że męża trzeba ratować i, uprzedziwszy jego lekkomyślny postępek, zameldować o wszystkim wujkowi.

Głęboką nocą, kiedy Tolik zasnął (śniły mu się oczywiście dinozaury w kapeluszach i pod parasolami), podniosła słuchawkę telefonu.

— Czuję — wyszeptwała z przejęciem — że ktoś go szantażuje. Podsuwa mu rozmaite durnoty, żeby zniszczyć jego piękny wizerunek w społeczeństwie.

Z drugiej strony słuchawki dudnił przytłumiony głos wujka Wieni.

ROZDZIAŁ 5

Rankiem Liebiedziński obudził Minca i sam usiadł za kierownicą swojego skromnego „Nissana”. Przed domem numer 16 dał taki sygnał, że obudzili się wszyscy włącznie ze starym Łożkinem, który nie zorientowawszy się, co jest grane, skoczył do stołu i kierowany odruchem bezwarunkowym zaczął pisać donos na osobników pozwalających sobie na budzenie mas pracujących pośrodku nocy.

— Ej! — zawołał mer. — Wstawajcie! Nauka nie znosi bezczynności!

Udał się nie zdołał się obudzić, ale Minc po pięciu minutach siedział już w samochodzie.

— Pokazuj drogę, profesorze! — rzucił władczo mer. Podczas jazdy dręczył Minca ogniem krzyżowych pytań:

— Jak je wydobędziemy?

— Na razie nie wiem. Jeszcze o tym myślę.

— Mam nadzieję, że nikt o tym jeszcze nie wie.

— Nikt. O ile nie liczyć akademika Bujeraka, to nikt.

— I co to za jeden? — zdziwił się Liebiedziński.

— Odkrywca oligozaura, jeden z największych specjalistów od „kredy” w Europie Wschodniej. Nie mogłem go o tym nie powiadomić.

— Mogliście! — sprzeciwił się mer. — Naraziliście naszą sprawę na straszne niebezpieczeństwo. On już lata po Moskwie i wrzeszczy, żeby organizować tu ekspedycję!

— Nie sądzę — ostudził go Minc. — Po pierwsze, Bujerak ma dziewięćdziesiąt sześć lat i już dwa lata temu zrezygnował ze swoich ekspedycji na pustynię Gobi. Po drugie, mieszka w Izraelu i nie może biegać po Moskwie. Po trzecie, jest głuchy i nawet nie wiem, czy rozumiał, co do niego mówiłem.

Słowa Minca trochę mera uspokoiły. Ale oczywiście nie do końca. Mimo wszystko nie wolno zapominać o tym, że Minc jest w pewnym stopniu osobnikiem narodowości żydowskiej. Tacy jak on napadają na bezbronnych Palestyńczyków.

Zajęty podobnymi myślami Liebiedziński nie spostrzegł się nawet, że za nimi, nie zostając w tyle i zbytnio się nie zbliżając, jedzie jeep „Cherokee” z miotaczem granatów na dachu.

Zostawiwszy samochód na poboczu mer i Minc wspięli się na wzgórze. Gdy przedostali się do pieczary, profesor włączył latarkę. To, co mer zobaczył, mocno go rozczerowało.

— Ja myślałem... — zaczął, nie bardzo wiedząc, jak to zdanie zakończyć.

Myślał pewnie, że ujrzy niemal żywe stworzenie, a zobaczył zwykłą pieczarę nie różniącą się od innych.

— Podejdźcie do ściany i przesuńcie po niej palcem — zaproponował profesor. — Co czujecie?

— Szorstka jest — stwierdził mer.

— I słusznie, bo to odcisk skóry. Już to samo wystarczy, żeby nasze nazwiska wpisano złotymi literami do księgi historycznych odkryć naukowych!

Jeżeli Liebiedziński żywił jakieś wątpliwości, po usłyszeniu słów profesora rozwiały się one jak dym.

Złotymi literami! Do księgi odkryć historycznych!

— To epokowe odkrycie — ciągnął profesor Minc surowym głosem — miało miejsce na terenie powierzonym waszej administracji i za który wy odpowiadacie.

Mer kiwał głową. Słuchał uważnie i ze zrozumieniem, które rosło w nim z minuty na minutę.

— Ludzkość się spodziewa, że zachowacie ten będący własnością narodu skarb dla potomnych. W naszych skomplikowanych i niełatwych czasach natychmiast znajdują się ludzie o brudnych rękach, którzy zechcą to sensacyjne odkrycie wykorzystać do własnych celów...

— Rozumiem — westchnął Anatolij Borysowicz.

Stojący przy wejściu do pieczary wujaszek Wienia zaklął sążnięcie. Bezwstydnie podsłuchiwał rozmowę Minca i Liebiedińskiego. Ważność odkrycia dinozaurów wcale do niego nie dotarła, zrozumiał tylko, że jego przyszywany zięć i protegowany zamierza sprzedać drogocenne wzgórze pod zabudowę komu innemu, a najpewniej temu gadatliwemu profesorkowi! Zmówili się! Sprzedawczyki! Nikomu nie można wierzyć! Gdyby nie Kat'ka, która zadzwoniła i uprzedziła ojca, to straciłby kawałek ziemi pod daczę! A wiadomo, że w tym życiu nieważne są pieniądze, ale prestiż! Przecież on, Wienia, zaprosił już na parapetową ferajną z Tuły, Pitra i nawet z Moskwy!

— W chwili, w której na guslarskim placu Zdobywców stanie pierwszy z dinozaurów, odtworzonych wedle metody znanej już nam z Pompei — ciągnął Minc — złączą się do nas zlatywać samoloty z całego świata. Spielberg zapłaci każde pieniądze, żeby tylko dotknąć jednego z nich! Mer zmrzył oczy.

Minc wciąż jeszcze roztaczał przed nim cudowne miraży, bo wiedział, że bez wsparcia Liebiedińskiego dinozaury mogą zostać unicestwione, zakryte lub ukradzione.

Wienia nie słuchał i nie chciał słuchać dalszej rozmowy. Nie dowiedziawszy się nawet, o czym tamci rozmawiają, wskazał palcem ochroniarzowi Ralfowi to miejsce nad wejściem do pieczary, gdzie przyroda uczyniła niewielki nawis. Ralf, ochroniarz idealny, odpowiedział radosnym pomrukiem. Lubił strzelanie z granatnika. Starannie wymierzywszy w nawis, nacisnął spust i wypuścił granat. Granat trafił, gdzie trzeba i nawis runął w dół, pociągając za sobą tony skał.

Po sekundzie wejście do pieczary przestało istnieć. W jego miejscu kłębił się teraz obłok czarnego pyłu. — Do nogi! — rzucił Wienia goryłowi. Ralf poszedł za nim do samochodu. Wienia nawet się nie obejrzał. Wiedział dobrze, że nie Jeży oglądać się ku przeszłości. Nawet w Biblii napisano, że żona Lota, która się odwróciła, by popatrzeć (na Sodomę czy Jerycho?), zamieniła się w słup soli.

Wienia nie chciał się w nic zamieniać, dobrze mu było, jak jest.

ROZDZIAŁ 6

Huk wybuchu wewnątrz był ogłuszający. Mincowi wydało się, że ktoś walnął go po głowie ciężkim zimnym workiem pełnym owsa. Latarka wyleciała mu z dłoni i przepadła w ciemnościach. Pieczarę wypełnił pył tak gęsty, że nawet kichnąć udało się nie od razu.

Absolutne ciemności. Absolutna cisza. Dokładnie tak czuje się człowiek po śmierci, pomyślał Lew Christoforowicz, ale w tejże chwili usłyszał cichy jęk, którego od razu po śmierci się nie usłyszy.

— Kto tu? — chciał zapytać Minc, ale zamiast tego wydusił z siebie niezrozumiały charkot, bo zaschło mu w gardle.

— To ja — odezwał się znajomy głos. — Anatolij Liebiedziński, możecie mi mówić Tolik. Jestem tu szefem.

Głos w mroku drżał i załamywał się. Tak, jakby Anatolij Liebiedziński niczego już nie był pewien.

— Strop się zawalił — pomyślał głośno profesor. — Trzeba trafu... trzymał się przez trzydzieści milionów lat i puścił właśnie teraz.

— Nie wierzę w takie przypadki — odpowiedział mer. — Widzę w tym czyjś zły zamysł.

— Ale komu to byłoby potrzebne?

— Temu, co chciałby sobie postawić pomnik na naszych kościach — oznajmił patetycznie Anatolij Liebiedziński.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Po chwili przerwał ją słaby głos Liebiedzińskiego:

— Znaczy, już po nas? Jak pan myśli, profesorze?

Dziwne z nas stworzenia, pomyślał Minc. Ot, jak się zmieniło brzmienie głosu naszego mera. Nie kieruje już z niedostępnych wysokości; zgadza się znów być zwykłym człowiekiem, mającym swoje słabości i wątpliwości.

— Poszukajmy latarki — zaproponował Minc. — Upadła, ale mogła się potoczyć nieco dalej. Niech pan połazi po ziemi macając dookoła rękami. Zrozumiał pan?

— Przystępuję do wykonania — odezwał się Anatolij Borysowicz. — Już pełzam.

Minc też się poczołgał — na spotkanie Liebiedzińskiego. Co prawda pełzać było niełatwo, ponieważ po ciemku obaj poruszali się zygzakami i nie mogli dobrze przebadać całej powierzchni dna pieczary.

Latarki nie było.

Powietrze w kawernie stawało się coraz bardziej duszne. Mogło im grozić uduszenie. Minc postanowił nie straszyć mera taką możliwością, żeby ten nie wpadł w panikę.

I kiedy profesor tracił już siły i nadzieję, jego palce zamknęły się na grubej rurze latarki.

„A teraz się zapal! — pomyślał błagalnie Minc zwracając się w duchu do latarki. — Zapal się, bo bez ciebie przepadliśmy!”

I latarka, jakby nigdy nic, zapłonęła jasnym światłem. Jakby leżała na półce w domu i tylko czekała, żeby komus poświecić.

„Dziękuję” — zwrócił się Minc do latarki.

— I co teraz? — zapytał Liebiedziński. — Niech mi pan powie prawdę!

— Zobaczmy — odparł Minc i zaczął wodzić snopem światła po ścianach.

Ściany pozostały na miejscu, poza tą oczywiście, w której niedawno jeszcze było wyjście na zewnątrz. Ta się wgniotła ulegając ciężarowi sklepienia. Właśnie sklepienie ucierpiało najbardziej. Pozbawione podpory osunęło się w dół i wyrzuszyło, opierając pochyło o ziemię — pieczara zmniejszyła trzykrotnie swoją powierzchnię, a jej objętość też została parę razy zredukowana. Teraz nie można się było w niej nawet porządnie wyprostować.

Minc przecisnął się ku byłemu wyjściu. Stwierdził, że zostało tak mocno zawałone, iż próby usunięcia rumowiska są z góry skazane na niepowodzenie.

Liebiediński domyślił się, że perspektywy są kiepskie, i zaraz zaczął jęczyć:

— I co, mamy tu siedzieć do zakichanej śmierci? Nie, zechciejcie mi odpowiedzieć, wy mnie tu ściągnęliście, na was spoczywa odpowiedzialność za moje bezpieczeństwo!

— Zamknijcie się!

— A wiecie, że należę do elity guberni, a nawet całej Rosji? Wiecie... ja przecież mam rodzinę! Kochaną żonę, dziatki drobne, teścia! Co, chcecie zostawić je sierotami? No, powiedzcie, tego właśnie chcecie?

Minc ignorował jęki i narzekania: wodząc promieniem światła w dość nikłej nadziei na to, że znajdzie jakiś inny otwór. Nie znalazłszy go, zaczął obstukiwać ściany dnem latarki. A może gdzieś niedaleko jest inna pieczara?

Ściany jednak odpowiadały jednakowo głuchym dźwiękiem, co znaczyło, że nie ma za nimi żadnej pustki.

W końcu profesor się zmęczył i usiadł pod ścianą, wyciągając przed siebie nogi, a potem wyłączył latarkę.

— Czemu zgasiłście światło? — rozległ się z mroku gniewny głos Liebiedińskiego. — Nie widzicie, że się boję?

— Ja też — odpowiedział Minc. — I na dodatek jest mi ogromnie przykro.

— Przykro?

— Odszukać całego dinozaura tylko po to, żeby na twoich oczach został zniszczony!

— Co za dinozaur? Jak to — został zniszczony?

— No przecież już go nie ma! Unicestwili go!

— Jak możecie w tej sytuacji mówić o takich bzdetach! Natychmiast podejmijcie poszukiwania wyjścia! O dinozaurach pomówimy później.

— Boję się, że przed nami nie ma już żadnego „później”. Minc powiedział to takim tonem, że mer zalał się łzami.

Minęło jeszcze kilka minut. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze.

Pochlipywania Liebiedińskiego brzmiały coraz ciszej.

I wtedy, niemal w kompletnej ciszy rozległ się nikły dźwięk, słaby niczym szelest łąpek chrząszcza pełzającego po obrusie, czy stonogi przebiegającej zeschniętym liść.

— Tuk–tuk.

Minc rzucił się ku ścianie i zastukał w nią gwałtownie.

Pauza.

Ponowny stuk z zewnątrz.

Właściwie nie z zewnątrz, czego Minc w końcu mógłby się spodziewać, a ze środka wzgórza. Czyżby kogoś tam zasypało tak jak ich?

— Co? Kto tam? — zachnął się Liebiediński. — Mnie tu nie ma!

Minc zastukał ponownie.

I wtedy towarzysze w biedzie go zrozumieli. Obruszyli na ścianę serię potężnych uderzeń. Minc odpowiedział im krótkimi seriami, stopniowo przybliżając się ku temu miejscu, gdzie przesmyk między jaskiniami był najwęższy.

Gorączkowo starał się przypomnieć sobie alfabet Morse’a, który poznał, gdy w młodości służył w marynarce jako kucharz okrętowy. Ale nie mógł sobie przypomnieć niczego, oprócz sygnału SOS — niedotlenienie sprawiało, że geniusza zawodziła już pamięć.

Ci z drugiej strony nie znali nawet tego prostego sygnału. Tłukli w ścianę bez żadnego systemu.

Liebiediński tylko słabo pojękiwał, potem oznajmił Mincowi, że umiera, ale jęczeć nie przestał. Minc w niczym merowi nie mógł pomóc, podjął więc z ziemi jakiś ostry kawał kamienia i zaczął uderzać w ścianę, licząc na to, że wybije w niej otwór.

Ludzie z tamtej strony byli jednak lepiej wyposażeni. Po chwili niedługiej beczynności wrócili do ściany i Minc usłyszał równomierne uderzenia kilofa.

Trwało to przynajmniej pół godziny. Tymczasem w jaskini zaczęło brakować tlenu i Minc położył się nieruchomo na podłodze, zamykając oczy, żeby niepotrzebnie nie tracić tchu.

Z zapomnienia wydobył go podmuch czystego, zimnego powietrza.

Profesor z trudem otworzył oczy.

W pieczarze płonęły świece — kilka świec i Mincowi wydało się nagle, że trafił na święto noworocznej choinki, tym bardziej, że słyszał wokół siebie ożywiony ruch i wesoły gwar, jakby wszyscy obecni zamierzali się puścić w tany.

— Co tu się dzieje! — zawołał Minc, usiłując wszystkich przekrzyczeć.

W blasku świec i latarek pochyliła się nad nim czarująca twarzyczka pięknej Mariny:

— Tylko się nie denerwujcie, Lwie Christoforowiczu! Wszystko będzie w porządku. Już was znaleźliśmy.

— Jak? Jak nas znaleźliście?

— Nic prostszego, Christoforycz — odezwał się stojący obok Korneliusz Udałow. — Te gołąbeczki mnie obudziły...

— My z Arkadijem rozmawialiśmy o paleontologii — wtrąciła pospiesznie Marina. — A kiedy mnie odprowadzał do domu, zobaczył, jak z towarzyszem Liebiedinskim pojechaliście samochodem do lasu, a za wami pognął czarny jeep znanego w naszym mieście bandyty...

— Dobroczyńcy — poprawił Udałow, głosem pełnym gryzącej ironii.

— No to my do Korneliusza Iwanowicza. A Korneliusz Iwanowicz — piechotą w las.

— Goniliśmy was jak wariaci — oznajmił Udałow. — W moim wieku rzecz nieprawdopodobna! Do tej pory nie mogę odzyskać tchu.

— A naprzeciwko nam jedzie ten jeep... — Podbiegamy do jaskini i widzimy, że samochód Liebiedińskiego stoi pusty. To jeszcze nic, ale nie ma wejścia do jaskini. Zawalone! Niewątpliwie sprawka Wieniamina! — oznajmiła Marina.

— Powtórzcie to! — wystękał słaby głos.

Wszyscy się obrócili. Anatolij Borysowicz leżał na boku, opierając się na uniesionym łokciu. Jego oczy płonęły gniewem.

— Powtórzcie to! — stęknął błagalnie. — Jesteście pewni, że nie rzucacie bezpodstawnych oskarżeń na szlachetnego przedsiębiorcę i założyciela fundacji pomocy dzieciom samotnych matek?

— Widzieliśmy na własne oczy — odparł szorstko Udałow.

— Łajdak! — wyszeptał Tolik i położył się na ziemi, żeby umrzeć. Stracił chęć do życia. Znaczący, ponownie zachciałoby mu się żyć, gdyby znalazł sposób zemsty na wujku Wieni. Ale na razie nie mógł niczego wymyślić.

— Próbowaliśmy się przebić od strony tamtego wejścia — stwierdził Arkadij — ale bez powodzenia. Bez trzech buldożerów niczego się tam nie osiągnie. I wtedy Korneliusz Iwanowicz przypomniał sobie, że w tym wzgórzu są inne pieczary.

— Znaczący, inne dinozaury — uściśliła Marina.

— Poprowadziłem ich do sąsiedniej pieczary, którą pamiętałem jeszcze z dzieciństwa — stwierdził skromnie Udałow.

— Bardzo interesujące — powiedział Minc. — I co, tam też jest pompejański dinozaur?

— Niewątpliwie — odparł Udałow. — To co, mówić dalej? — Oczywiście!

— Doszliśmy do wniosku, że nie poradzimy sobie z przebicciem ściany dzielącej jaskinie. Co robić? Biec do miasta po łomy? A wy w tym czasie się podusicie!

— Niewiele brakowało — przyznał Minc.

— I wtedy słyszymy — na zewnątrz łążą jacyś ludzie — powiedziała Marina.

— Wielu ludzi i nieźle wyposażonych w sprzęt do wykopalisk.

Ludzie, o których była mowa, zaczęli się już tymczasem zbierać do odejścia. Ratownicy podchodzili kolejno do Min—ca i ściskając mu dłoń życzyli zdrowia, szczęścia i długiego życia.

— Na nas już czas — mówili. — Robota czeka. Człowiek sam jest kowalem swojego szczęścia.

Jeden za drugim podchodzili do dziury w ścianie i znikali w mroku.

— Co to za jedni? — zapytał Minc.

— Poszukiwacze skarbów — wyjaśnił Udałow. — Dziesięć kilometrów stąd jest sympozjum poszukiwaczy skarbów. Zjechali się z całej Rosji.

— Ale czemu do nas? — zdziwił się Minc.

— Z każdego znaleziska dziesięć procent do miejskiej kasy — rozległ się głos Liebedińskiego. — Otworzyliśmy specjalną strefę zakopanych skarbów. Ściągamy kapitał.

— Ale co ich tu ciągnie?

— Oj, Lwie Christoforowiczu! — westchnął Udałow. — Zapomnieliście o zbójcu Krutojarze, który pod urwiskiem rzeki Guś na Gawriłowej działce przy Kseńkinej głębi w drugiej połowie osiemnastego wieku zakopał skrzynię ze zrabowanymi skarbami?

— Ale to tylko legenda!

— Dla jednych legenda, dla drugich szczerą prawdą — oznajmił Udałow. — Nie czytaliście w „Guslarskim Trójkolorze” o tym, że nieopodal Kseńkinej głębi znaleziono pierścień ze szmaragdem? Obejrzeni go i zbadali znani specjaliści, po czym orzekli, że pierścień należał do poety Gawriły Dzierżawina, którego ludzie Krutojara obrabowali w maju 1768 roku, zostawiając mu tylko czapkę, żeby sobie talentu nie przeziębził.

— Mieliśmy szczęście, że się w lesie natknęliśmy na tych poszukiwaczy skarbów — oznajmiła Marina. — Na sympozjum zaplanowano zajęcia praktyczne i każdy miał ze sobą czekan, kilof albo oskard. I w okamgnieniu wybili dziurę do waszej pieczary.

Arkadij pomógł wstać Liebedińskiemu, który czuł się słabo i był ogromnie przygnębiony.

Minc ostatni raz rzucił okiem na pieczarę, i zavalony strop.

— Dziesięciu małych Murzynków poszło się kąpać w morzu, jeden utonął w odmętach i dnia następnego nie dożył. — mruknął do siebie.

W sąsiedniej pieczarze Minc zatrzymał się i spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądał dinozaur, który wyparował w tym miejscu przed pięćdziesięcioma milionami lat.

Był większy od poprzedniego i miał grzebień na grzbiecie — na co wskazywały pionowe szczeliny ciągnące się szeregiem wzdłuż sklepienia.

— Ani chybi stegozaur — oznajmił profesor. — Trzeba nam będzie jeszcze dziś zbadać te wszystkie pieczary i zrobić plan wzgórze. Jak myślicie, Anatoliju Borysewiczu, będziecie mogli nam przydzielić do tych prac odpowiednich specjalistów?

— Jeżeli zostaną przy życiu, to tak — odparł mer.

Nikt się z nim nie spierał, bo wszyscy przypomnieli sobie o tym, że w mieście czeka na nich niebezpieczeństwo.

A potem Minc stwierdził z godnością: — Mimo wszystko interesy nauki powinny stać na pierwszym miejscu.

Wkrótce wszyscy wydostali się na zewnątrz. Minc zmrużył oczy, bo dzienny blask wydał mu się nieznośnie jaskrawym. Liebediński w ogóle stracił równowagę i niewiele brakowało, a by się wykopyrtnął.

Potem ruszyli drogą ku miastu.

Daleko jednak nie uszli.

Zatrzymał ich stojący pośrodku ścieżki i opierający się na aluminiowych kulach zgarbiony staruszek w grubych okularach.

— Ej! — odezwał się niespodziewanie silnym głosem. — Młodzi ludzie, nie wiecie wy, którą drogą, do dinozaurów?

— Akademik Bujerak! — wykrzyknął Minc. — Jakże wiatry tu was przyniosły?

Wszyscy wrócili do pieczary, bo wstyd im było tłumaczyć się zmęczeniem wiekowemu staruszkowi, który przyjechał do Guslaru specjalnie po to, żeby obejrzeć miejsce odkrycia.

Staruszek paleontolog ruszył ku jaskiniom z niespodziewaną rzeźkością i energią. Nawet przy nikłym świetle latarki i w . okularach na szesnaście dioptrii zdołał dokonać kilku ważnych odkryć dotyczących skóry, rogowych płytek, pazurów, a nawet zębów utrwalonych jak Pompejańczycy dinozaurów.

Wręcz nie chciał wracać do miasta — wołał zostać w piei czarze, żeby nie odrywać się od pracy. A gdy Minc zaczął go namawiać do odpoczynku, powiedział stanowczo:

— Młody człowieku, o odpoczynku możemy tylko pomarzyć. W moim wieku trzeba cenić każdą minutę.

Gdy wracali do miasta, akademik Bujerak machał im pomarszczoną ręką.

ROZDZIAŁ 7

Liebiedziński cały czas trzymał się Lwa Christoforowicza. Uznał, że w jego towarzystwie może się uważać za prawie bezpiecznego. Chociaż trudno było przewidzieć, jakie kroki podejmie wujek Wienia.

A miasto wrzało.

Wielu ludzi wiedziało już o zamachu na życie profesora Minca oraz mera, i niektórzy — zwłaszcza demokraci — pospieszyli z wyrazami współczucia. Inni udawali, że go nie widzą, przypuszczając, że dni ojca miasta są policzone, skoro wszechmocny w okolicy wujaszek Wienia zdjął znad niego dotychczasowy ochronny parasol.

Jakkolwiek mogłoby się to wydać dziwne, choć o szczegółach zamachu na Liebiedzińskiego wiedziało już całe miasto, sam wujaszek Wienia nie miał pojęcia, iż jego wróg został przy życiu, a żona Anatolija Borysowicza też się nie domyślała, że sprowokowany przez nią zamach na jego życie się nie udał.

Liebiedziński doszedł z Mincem niemal do jego domu, a potem poprzez podwórka, opłotki i alejki miejskiego parku przedostał się do swojego domku, gdzie ukrył się w krzakach, obserwując wejście. Po godzinie bokiem dotarł do bramy, a potem pospiesznie przeskakując po trzy stopnie, rzucił się na drugie piętro.

Otworzył drzwi swoim kluczem.

Córka, radość ojcowskich oczu, była w domu i zawołała od wejścia:

— No jak? Odkopałeś dinozaura?

— Niedługo będzie odkopany — odpowiedział papa i zostawiwszy córeczkę pobiegł na palcach do salonu, gdzie przed telewizorem rozpierała się Katierina — krzepkie nogi na kanapie, papieros w ustach i szklanka dżinu w dłoni. Wykorzystywała w pełni to, że mąż został zabity i teraz nikt już nie będzie jej wytykał zgubnych nałogów.

— Ralfunia? — zapytała nie odwracając głowy. — Każesz mi na siebie czekać, łobuzie jeden. No, chodź tu, zwierzaczk.

Wyciągnęła łapę ku drzwiom i Liebiedziński z trudem powstrzymał się od splunięcia jej na dłoń.

Zamiast tego zrobił jeszcze krok i zasłonił sobą ekran telewizora.

Żona powiodła pijackim wzrokiem po jego niezbyt obszernej figurze, a potem jej twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

— Jakże to? — zapytała całkiem spokojnie. — Powiedziano mi, że z tobą koniec...

— Jeszcze nie — odparł mer równie spokojnie. — Podobnie jak z pracowitym i uczciwym narodem rosyjskim. Ten numer wam nie przejdzie. A z takimi jak twój tak zwany wujaszek rozprawimy się nie tylko zgodnie z prawem, ale i sprawiedliwie!

W tejsze chwili Katierinie puściły nerwy. Była kobieta podłą, ale sentymentalną, to znaczy skłoną do płaczu.

— Nie zabijaj! — zakwiliła i na kolanach podpełzła do Liebiedzińskiego.

— Niedoczekanie twoje, nie będę sobie rąk brudził! — wycedził przez zęby mer. — Przyznaj się tylko, żeście ten podły czyn zaplanowali oboje ze swoim wujkiem.

— Jakże mogłabym coś takiego planować! — sprzeciwiła się Katierina, nie przerywając marszu na kolanach. — Stęskniona kobieta poskarżyła się bliskiemu krewnemu na to, że mąż nie święcą jej należytej uwagi — to wszystko!

Katierina łgała, ale Liebiedziński dowiedział się tego, czego mu było trzeba. Nie miał już wątpliwości, że zabójstwo zorganizował wujaszek Wienia.

Znieruchomiał, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić.

I wtedy drzwi się otworzyły, a do pokoju wszedł ochroniarz Ralf. Jego matką była kobieta, a ojcem rottweiler. Wygląd i zachowanie miał odpowiednie. Odzywał się rzadko i mówił z

trudem.

Ujrzawszy żywego Liebiedzińskiego warknął ze zdziwieniem. Sam przecież odpałał granatnik.

Mer zrozumiał, że kolejny zamach na jego życie z pewnością się uda i bez namysłu śmignął przez otwarte okno z drugiego piętra w dół. Wyszedł bez szwanku tylko dlatego, że spadł na dach jeepa, którym przyjechał Ralf. Dach się wgiął i przyjął Liebiedzińskiego sprężysto jak hamak. Mer wydostał się z brezentowych objęć i kulejąc wybiegł z podwórka na ulicę. Ralf wysunął się z okna i dźwięcznie zaszczeakał coś za uciekającym ojcem miasta.

Po kilku chwilach Liebiedziński dobiegł do budynku merostwa. Dzień pracy już się skończył i korytarze były puste.

Spóźnieni wychodzący urzędnicy ze zdziwieniem patrzyli na biegnącego w stronę swojego gabinetu lokalnego dostojnika. Niedawno merostwo obleciały plotki, że został zabity przez najętych kilerów, ale proszę — plotki okazały się fałszem.

Minawszy sekretarkę, Liebiedziński kopnął się do swego gabinetu i skoczył do telefonu.

Wybrał bezpośredni numer do gubernatora.

Numer nie odpowiadał. Gubernator wybrał się na przymiarę garnituru szytego na przyjazd Filadelfijskiej Orkiestry Symfonicznej, która w niedalekiej przyszłości miała odwiedzić stolicę guberni.

Liebiedziński otworzył ściśle tajny notes i znalazł telefon Kremla.

— Proszę czekać — poproszono Liebiedzińskiego. Potem rozległo się kilka tonów rosyjskiego hymnu i inny, równie uprzejmy głos oznajmił: — Prezydent Federacji Rosyjskiej jest w tej chwili pilnie zajęty i nie może podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po trzecim sygnale.

Liebiedziński wyprostował się jak struna — wszak rozmawiał z prezydentem — i zameldował:

— Mówi Liebiedziński. Wiadomość wagi państwowej. W okolicach Wielkiego Guslaru znaleziono dinozaury. Powtarzam, nie szkielety, ani ich resztki, ale całkowite i dokładne odciski, co jest sensacją na skalę światową i przyniesie nam obu chwałę i nieśmiertelność. Jednak pewni oligarchowie wyciągają już swoje brudne ręce po skarb narodowy. Proszę o natychmiastowe przysłanie do Wielkiego Guslaru zaufanych oddziałów wojska, i osobistej ochrony dla mnie. — Liebiedziński przez chwilę jeszcze się zastanawiał, czy powiedział wszystko, co trzeba. Gotów już był odłożyć słuchawkę, ale przypomniał sobie coś jeszcze: — Najważniejsza rzecz, to stworzyć tu rezerwat! Żeby wszystko zachować dla potomków! Zrozumieliście mnie?

Automatyczny sekretarz nie odpowiedział.

I Liebiedziński odłożył słuchawkę.

Ale w tej samej chwili telefon zadzwonił.

Czyżby prezydent wrócił tak szybko?

Liebiedziński capnął słuchawkę jak diabeł duszę.

— To ty, Tolik? — rozległ się w słuchawce głos wujaszka Wieni.

— Ja.

— Czemu mnie oszukujesz?

— W jakim sensie?

— My cię zniszczyliśmy jako klasę, a ty znów bręczysz? Twój telefon do prezydenta został przejęty przez moją stację podsłuchową. Jak ci nie wstyd niepokoić takiego człowieka, jak nasz prezydent? Jakie dinozaury?

— Wewnątrz tego wzgórza kryją się dinozaury — odpowiedział twardo Liebiedziński. — A wy, wujku Wieni, jednego z nich zniszczyliście wybuchem! Nie bacząc na to, że odwołałem decyzję o wydzieleniu wzgórza pod działkę budowlaną.

— Ten papierek to ja mam u siebie. I zechciej wziąć pod uwagę, że do prezydenta twój

głosik nie doleciał.

— Już się nie cofnę! — uciał Liebiedziński. — Ty mnie zabiłeś, a ja cię do paki wsadzę.

— Ha, ha! — odparł Wienia głosem hollywoodzkiego gangstera. — Trup żywego chce złapać!

Liebiedziński rzucił słuchawkę i skoczył ku drzwiom.

Za stołem sekretarki siedział Ralf i szczerząc wielkie, żółte zębiska unosił pistolet z tłumikiem.

Mer błyskawicznie cofnął się do gabinetu i zabarykadował drzwi, przewracając szafę z książkami. I skoczył do okna.

Pod oknem stał Wienia z komórką przy zniekształconym, bokserkim uchu. Za jego plecami sterczeli dwaj drągale z kałachami.

Liebiedziński rozejrzał się po gabinecie wzrokiem zaszczutego zająca.

I wtedy uchylły się drzwi wielkiej archiwalnej szafy.

— Właz, Tolik — usłyszał zapraszający głos Udałowa. Oszołomiony Liebiedziński wlaź do szafy.

Udałow zamknął szafę. W jej podłodze był właz, z którego sączyło się nikle światło.

— Za czasów Katarzyny Wielkiej uciekali tędy na wolność współpracownicy Pugaczowa.

— Ten budynek jest aż taki stary?

— Dom przebudowywano wielokrotnie — w stylu epoki. Ale tunelu nie ruszali. Każdy kolejny naczelnik miasta wiedział, że przejście może się przydać.

Schodzili pod dość ostrym kątem. Powietrze staowało się coraz bardziej stęchłe, z każdym krokiem trzeba się było przebijać przez gęste zasłony pajęczyn, a stopnie pod nogami robiły się coraz bardziej śliskie.

Liebiedziński powoli odzyskiwał ducha.

— Trzeba się będzie połączyć z Kremlem — stwierdził.

— Włączymy do akcji społeczność międzynarodową — odparł Udałow. — Ciszej!

Zatrzymali się. Gdzieś daleko z tyłu słychać było kroki i głosy.

— Diabli nadali! — zaklął Udałow. — Wyśledzili nas! Trzeba było szybko biec, potem pełzać na czworakach.

Z góry kapaly ciężkie, zimne krople, bezbłędnie trafiając za kołnierze. Mer się poślizgnął i przejechał twarzą po stopniach. Nabił sobie siniaków, ale jakoś to ścierpiał.

Wyskoczyli na zewnątrz w kępie gęstych krzaków obok mostu przez Błotniarkę — rzeka wyschła przed trzystu laty, ale most został. Łamiąc gałązki pobiegli na przełaj do ulicy Puszkina.

Jak na złość, pogoń nie zostawała w tyle — ścigający zobaczyli, dokąd pobiegli uciekinierzy.

— Dymaj do Minca! — rozkazał Udałow. — Ja ich odciągnę. Jak ptak od gniazda.

Pobiegł po ulicy machając rękami, a Liebiedziński cofnął się „chyłkiem i tyłkiem”.

W sześć minut później wpadł jak bomba w uchylone drzwi mieszkanca wielkiego uczonego.

ROZDZIAŁ 8

— Trzeba mnie ratować! Natychmiast — zawołał mer od progu.
Minc spokojnie zamknął drzwi.
— Mamy jeszcze trzy, cztery minuty — powiedział.
— Dokąd mam uciekać?
— Dokąd każe — odparł profesor i wyjął z szuflady biurka niewielki plecak z jakiegoś szarego, metalizującego materiału.
— To dla mnie?
— Wdziwajcie. Zostały dwie minuty. Mer zrozumiał, że nie czas na żarty.
Zaczął wdziwać na plecy worek, z jakim łązą po świecie długowłosi europejscy turyści.
— Słuchajcie mnie uważnie — rozkazał Minc. — To, co włożyliście, to machina czasu. Wariant przenośny. Nie dziwcie się, nie czas na to. Machina jeszcze nie została wynaleziona i opatentowana. Przywiózł ją z gwiazd nasz przyjaciel Udałow. Działanie ograniczone i w zasadzie nie ma praktycznego zastosowania. Ale do naszych celów będzie w sam raz. Naciśnięcie ten guziczek, widzicie?
— Widzę.
— Stop! Nie naciskajcie przed czasem. Jeszcze jej nie nastroilem.
Do szkła z zewnętrznej strony przylgnął nos Ralfa. Węszył zapach ofiary.
— Przemieście się teraz na odległość tygodnia w przyszłość.
— A czy to nie jest niebezpieczne?
— Bardziej niebezpiecznie będzie, jak zostanieie tutaj. Z pewnością was zabiją.
— Rozumiem. Ale miałem na myśli zdrowie — czy przemieszczenie w czasie nie zaszkodzi mojemu zdrowiu?
— Każdy przywódca niższego szczebla, podobnie zresztą jak każdy szef wyższego szczebla, pozbawiony jest poczucia wdzięczności... Naciskajcie guzik. Wróćcie do nas za tydzień. Czas jest najlepszym schronieniem.
Liebiedińskiemu trzęsły się ręce. Nijak nie mógł trafić palcem w guzik.
Ralf wypchnął ramieniem szkło okienne i wymierzył pistolet w cel.
Profesor sam nacisnął guzik.
Liebiediński stęknął niegłośnie i rozpląnął się w powietrzu. Kule ochroniarza przeszły przez puste miejsce, w którym tuż przedtem stał pracownik administracji państwowej na kierowniczym stanowisku.
Ralf rycząc wściekle wdarł się przez okno. Za nim przelazł przez parapet sam wujaszek Wienia.
— Gdzie on jest? — zapytał Minca. — Jak go znajdę, wszystkich powystrzelam.
— Zechciejcie wybaczyć, ale wszystkich nie wystrzelacie — odparł profesor Minc.
Ralf rzucił się do rozbijania retort i probówek, ale Minc zdążył uprzedzić wujaszka:
— Połowa tych odczynników jest bardzo toksyczna. Niektóre mogą zabić wszystko, co żyje w promieniu trzech kilometrów, a w jednym ze słoików jest substancja ze środkiem, którego siła wybuchu przewyższa znacznie bombę atomową. Jeżeli mi nie wierzycie... — profesor wzruszył ramionami — to rozwalcie, co zechcecie.
Wujaszek Wienia miał intuicję.
— Nie ma go tu — stwierdził. — Czuje, że zwiął.
Ralf warknął, zgadzając się ze swoim szefem.
Obaj wyszli, zostawiając rozbite szkło i kilka dziur w ścianie po kulach.

ROZDZIAŁ 9

Udałow z Mincem poszli na wzgórze. W drodze dogonili ich Arkasza z Mariną. Arkasza nie odrywał zakochanego spojrzenia od twarzyczki dziewczyny i dlatego często się potykał.

Przy wyjeździe z miasta wyprzedził ich jeep, w którym siedziały cztery osoby: wujaszek Wienia, Ralf i dwie kobiety; grubsza była żoną wujaszka Wieni, a mniej gruba — małżonką Liebiedzińskiego. Teraz, kiedy ostatecznie owdowiała, przyjęła ją na swoje łono rodzina wujaszka.

Ralf wysunął głowę przez okno i wyszczerzył zęby.

— Patrz na drogę! — krzyknęła żona wujaszka Wieni Roz—oczka, z domu Ajmuhamedowa.

— Nie zwracajcie na nich uwagi — oznajmił Minc. — Oni szukają mera. Niech sobie szukają.

— Mamy wiele problemów, Lwie Christoforowiczu — stwierdził Arkadij.

— I jeden główny, z którym jak do tej pory, mimo całej swojej genialności, nie zdołałem się uporać.

— Jak ujawnić te dinozaury? — zgadła Marina. Była mądrą dziewczyną.

— O właśnie!

— Trzeba jak Włosi — podsunął Udałow. — Zalać pieczarę gipsem, obstukać ze wszystkich stron i ukaże się dinozaur naturalnej wielkości.

— Boję się — orzekł Minc — że na ten kretyński pomysł wpadnie ktoś jeszcze.

Urażony Udałow nadał się i umilkł.

— Zrozum — odezwał się profesor — jak tylko zniszczysz pieczarę, unicestwisz negatyw dinozaura. A co jest tak cennego w negatywie?

— No, co? — zapytał Arkasza.

— A to, że można z niego zrobić dwie lub więcej odbitek pozytywu. A kiedy zniszczymy pieczarę, zostanie nam tylko gipsowy odlew. Pozytyw w jednym, jedynym egzemplarzu.

Gdy sens wypowiedzi Minca dotarł do jego towarzyszy, mocno ich przygnębił.

Jeszcze niedawno wszystko wydawało się takie proste. Przepędzimy bandytów, zorganizujemy ochronę, określimy granice rezerwatu, a potem na wzór Włochów, zalejemy pieczarę gipsem. Nikomu oprócz Minca nie przyszło do głowy, że największym skarbem nie są i nie będą gipsowe odlewy, ale same ściany pieczary, na których zachowały się odciski skóry dinozaurów.

— Rozcinamy górę na dwie części — zaproponował Arkasza. — Połowę dinozaura odlewamy z jednej strony, połowę z drugiej, wydobywamy nie uszkadzając góry, zestawiamy niczym dwie półkule — i dinozaur gotowy.

— Pomysł niegłupi — przyznał Minc. — Ale zechciejcie sobie wyobrazić, koledzy, ile to będzie kosztował miasto i Akademię? I skąd wziąć takie pieniądze?

— Niech zapłacą Amerykanie — podsunęła Marina. — Jak gdzieś wojsko posłać, to zawsze pierwsi, a kiedy trzeba pomóc dinozaurom, to ni chuchu!

— Nie można — odezwał się Udałow, który do tej pory milczał tak uparcie, że wszyscy o nim zapomnieli. — Zabiorą wtedy wszystkie dinozaury jako zwrot kosztów — na przechowanie. Słyszałem, że nawet Statuę Wolności wywieźli z Francji za długi.

— Myślcie! — zwrócił się Minc do przyjaciół. — Myślcie i jeszcze raz myślcie! Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji.

Przez jakiś czas chodzili w kółko bez słowa, a potem odezwała się Marina:

— A gdyby zastosować gumę, którą można by było wyciągnąć z pieczary przez wyjście? Taką miękką?

— Sprawdzimy — stwierdził Udałow. — Ale na razie o takiej gumie nie słyszałem.

Poranny las milczał, zbliżała się jesień. Pora ptasich amorów dawno minęła, z jajek wykluło się potomstwo, które trzeba karmić, uczyć latać i bronić przed drapieżnikami. A niektórzy ptasi małżonkowie być może żalowali już, że za głośno śpiewali.

Kiedy przyjaciele wyszli na polankę pod wzgórzem, na szczycie zobaczyli cztery złowrogie figury, nieruchome niczym wypatrujący w dali Chazarów staroruscy witezie.

A przy wejściu do pieczary na składanym stołeczku drzemał akademik Bujerak.

Przybysze podeszli na palcach, żeby nie obudzić wiekowego uczonego, ten jednak sam otworzył oczy, włożył na nos okulary i powiedział:

— Tam, wewnątrz góry, opisałem już wspaniały okaz triceratopsa. Cudowny egzemplarz. A przy okazji, koledzy, co teraz zamierzacie? Dobrze byłoby porobić odbitki.

Głos akademika prawie nie drżał.

— I jeszcze chciałbym się dowiedzieć, co za barbarzyńca zniszczył jedną z pieczar? To przestępstwo popełniono bardzo niedawno.

— Ma pan rację, Arystarchu Siemionowiczu — odparł skruszonym głosem Minc, który doskonale wiedział, że gdyby z merem nie weszli do pechowej pieczary, dinozaur zostałby cały. — Cała odpowiedzialność spada na mnie.

— Odpowiedzialność to nie ptasie łajno — stwierdził akademik. — Ona nie spada, tylko przygniata niczym ciężki krzyż.

Minc stał bez słowa, pokornie pochyliwszy łysą głowę.

— Jeszcze jeden zniszczony dinozaur i przepędzę pana precz ze świata nauki! — uprzedził Bujerak. — Macie wy tu gdzieś dietetyczną jadłodajnię?

Wymówił się od pomocy i opierając się na kulach, pokuszył do stołówki nr 1.

Tego jeszcze dnia Minc z Udałowem i młodymi ludźmi postanowili zbadać w miarę możliwości całe wzgórze i wyjaśnić, ile jest w nim pieczar i dinozaurów — było raczej oczywiste, że pieczar nie musi być tyle, ile dinozaurów.

Kiedy Arkasza wlaźł na wzgórze, żeby zobaczyć, co to za dziura zieje w zboczu za pnem przechylonej nad stokiem sosny, z góry rozległ się groźny okrzyk:

— Gdzie leziesz, do cholery?

To wołał wujek Wienia. Bardzo niezadowolony.

— A co to was obchodzi? — zawołał w odpowiedzi Udałow.

— Bo to moja działka pod daczę — wyjaśnił wujek Wienia. — Dziś zaczynam budowę.

— Ale jeszcze się nie zaczęła! — zawołała z dołu Marina.

— A poza tym, nie macie żadnego prawa — stwierdził Udałow.

— Prawem silnego są jego mięśnie! — odpowiedziała Rozoczka, żona Wieni.

— O, mój Tolik spróbował walczyć z tą siłą i klops! — dodała Katierina.

— Wasz mąż, Katierino Pawiowa — krzyknął Udałow — jest absolutnie bezpieczny i znajduje się poza zasięgiem rozmaitych elementów przestępczych. Zechciejcie mi uwierzyć, że wróci zwycięsko z oddziałem OMON-u!

— Bzdury! — zawołał Wienia. — Osobiście go załatwiłem! W czasie tej dyskusji uczestnicy ekspedycji Minca badali wzgórze. Arkasza odszukał niezbyt wielką dziurę, Marina zaś podeszła do niego i podała mu latarkę, a Udałow, jako emerytowany budowlanec, usiadłszy na pniu rozłożył na kolanach arkusz brystolu i zaczął rysować plan wzgórza i pieczar z kopalnymi zwierzętami.

Akcja całego spektaklu działa się jakby w trzech planach.

Na szczycie wzgórza miotał się wujek Wienia ze swoim towarzystwem. Mierzyli placyk wzdłuż i wszerz, oceniali w którą stronę trzeba skierować werandę i gdzie postawić kamienny murek, zza którego w razie potrzeby można się będzie ostrzeliwać.

Piętro niżej Arkasza i Marina pełzali po pieczarach i korytarzach wewnątrz wzgórza, dziwiąc się, że ludzie w ciągu tylu wieków nie spostrzegli, że te pieczary to wnętrza przepadłych dawno dinozaurów.

A u podnóża pagórka Minc i Udałow prowadzili prace badawcze, starając się dociec, ile dinozaurów skrywa wzgórze.

Miedzy „piętami” panował chwilowy pokój. Tym bardziej, że szczegóły działalności zespołów na poszczególnych poziomach pozostawały tajemnicą dla sąsiadów. Na przykład Minc nie podejrzewał nawet, że Arkasza i Marina, zamiast włączyć w ogon kolejnego dinozaura, całują się z zapalem w ciemnościach, a Marina wcale — jak się okazało — nie czuje strachu. Wujaszek Wienia też nie miał pojęcia, co tam rysują emerycy na dole. Najpewniej pisali na niego donos. Donosy jednak nie były dla niego nowością. Donos, to w najgorszym wypadku niepotrzebny wydatek. Zapłać — i donos zniknie, jakby go nie było. Dawno już minęły straszne czasy stalinowskie, teraz wszystko się dzieje humanitarnie i po ludzku.

Nasyciwszy się pocałunkami młodzi ludzie wyłazili z kolejnej pieczary czy szczeliny i meldowali ustnie, jak i którędy biegną podziemne korytarze. Nauczyli się już rozpoznawania gatunków wymarłych dinozaurów w niezwykle krętych przejściach. Minc i Udałow wyciągali wnioski, nanosili wszystko na papier, a wujaszek Wienia kombinował, że wzgórze trzeba będzie ufortyfikować. Komplikowało to sprawy, ale Rozoczka nastroiła się kategorycznie — pałacyk ma być właśnie tutaj i nigdzie indziej. W przeciwnym razie nie da się przeskoczyć Smuszki, Ter-Aktiniana i tajemniczego osobnika o sporym : autorytecie, znanego pod ksywą Gorzelnia.

W sprawach zawodowych decydował zawsze wujaszek Wienia, ale w domowych i rodzinnych decyzja należała do Rozy. Miała bardzo trzeźwe poglądy na życie. Swojego czasu zamknęła papę w areszcie, bo nie dawał mamie pieniędzy na mięso i masło dla czterech dzieciątek.

Wienia postanowił zalać korytarze i kawerny cementem, żeby domek stał na pewnych fundamentach.

Wszystkie trzy grupy badawcze skończyły pracę mniej więcej w tym samym czasie.

Wujek Wienia, z niepokieszoną, ogarniętą rozmaitymi wątpliwościami Katieriną i mocno już zgłodniałym Ralfem, który, co prawda, zdołał złapać wronę i pożreć ją z piórami, odjechali jeepem. Kompania Minca wróciła do domu pieszo. Wszyscy byli mocno wzruszeni — rzeczywistość przekroczyła wszelkie oczekiwania.

Co prawda wujek Wienia zapewniał, że osobiście spopielił mera celnym strzałem ze specjalnej broni, jednak nie miał co do tego zbyt wielkiej pewności. Wróciwszy do domu spuścił Ralfą z łańcucha z rozkazem szukania Liebiedińskiego po całym mieście. Gdzieś w końcu mer musiał się ukrywać. I surowo zaznaczył Ralfowi — znajdziesz, to od razu zagryź! Żadnego humanitaryzmu, żadnych tam ludzkich uczuć!

Katieriną pożegnała się i poszła pieszo. Nie doszła do domu, bo przysiadła, żeby sobie popłakać nad brzegiem rzeki na jednej z ławeczek, pomalowanych z mężowskiej łaski. Och, jakże teraz żalowała swojego lekkomyślnego postępkę!

Akademik zjadł w dietetycznej stołówce nr 1 pierwsze danie i połowę drugiego, po czym został odwieziony na reanimację. Chwała Bogu, nie doszło do najgorszego. Leżał w korytarzu, czekał w kolejce do kroplówki i myślał o tym, jak wydobyć triceratopsa.

ROZDZIAŁ 10

Wszyscy pograżyli się w głębokim śnie.

Wszyscy — oprócz wujka Wienera i Kateriny.

Kateriną cicho popłakiwała — było jej zimno i niewygodnie w łóżku. Na dodatek Ralf nie zwracał na nią uwagi — nie przyszedł na noc.

Wienera przywiózł na szczyt wzgórza betoniarkę. Trzeba ją tam było przerzucić specjalnym dźwigiem, który przywieziono z Kotlasu czarterowym helikopterem.

Betoniarka stanęła twardo na szczycie wzgórza.

Wiener chciał zacząć budowę o świcie, bo bał się nieprzyjanych orzeczeń i decyzji. Wiedział jednak, że jeśli do obiadu stanie parter, żaden wróg nie ośmieli się wysiedlić gospodarza.

Betoniarka stanęła twardo na szczycie wzgórza.

Wiener chciał zacząć budowę o świcie, bo bał się nieprzyjanych orzeczeń i decyzji. Wiedział jednak, że jeśli do obiadu stanie parter, żaden wróg nie ośmieli się wysiedlić gospodarza.

Jednocześnie, gdy betoniarkę dźwigano na szczyt, brygada przysłanych z Jurgi wiertaczy zaczęła wiercenie sztolni do zalewania kawern.

Wiener stał obok.

Był z siebie niezmiernie dumny.

W kark świecił mu księżyc od czasu do czasu zasłaniany wędrownymi obłokami. Obudzona przez łoskoty kukułka zaczęła przepowiadać Wienerowi długie życie.

Nie zdążyła jednak doliczyć do pięciu, kiedy ważąca kilka ton betoniarka przełamała sklepienie górnej pieczary i majestatycznie runęła w dół. Na zewnątrz została tylko kratownica maski i przednie koła.

Ponieważ helikopter zdążył już odlecieć, nie miał kto wyciągać potwora z wnętrza wzgórza.

Wujaszek Wienera rzucił się na ziemię i zaczął walić pięściami w miękką trawę i dywan z sosnowych igiełek. Taka klęska spotykała go po raz pierwszy.

Z jamy wylazł przestraszony, ubłocony i utykający operator betoniarki i obrzucił wujaszka Wienera przekleństwami. I jak na złość obok nie było Ralfa, który powinien był szukać Liebiedzińskiego, a teraz siedział nad brzegiem rzeki Guś obok muzeum krajoznawczego i był do księżycy.

Profesorowi Mincowi przyśnił się straszny sen. Uzbrojony w niewielką armatkę człowiek podobny do wujaszka Wienera stał na guslarskiej ulicy i czekał, kiedy zza rogu wyłoni się dinozaur. Dinozaur szedł spokojnie czytając sobie książkę, a jeżeli nastąpił na kogoś z przechodniów, grzecznie przeproszał. Przechodnie zresztą wcale się na niego nie gniewali — dinozaur był swój, udomowiony.

A wujaszek Wienera podniósł nagle lufę i strzelił.

Dinozaur upadł i wtedy jakby niktąd zjawił się jadący na inwalidzkim wózku akademik Bujerak, gwiazda rosyjskiej paleontologii i osobisty przyjaciel Cuviera. „O łotry jedne, jakiego brachiozaura zabili!” — grzmiała gwiazda, a Minc odpowiedział: „Zostało jeszcze osiem!”.

Zdjęty grozą Minc nagle się obudził. Za oknem dopiero zaczynało świtać. W stronę lasu ciągnęło hałaśliwe stadko wron. Po ulicy szedł rozjuszony Wiener i gorzko płakał.

Profesor Minc spróbował ponownie zasnąć, ale sen jakoś nie przychodził. Minc zrozumiał, że nocny koszmar był snem proroczym. Coś złego przytrafiło się kolejnemu dinozaurowi.

Gdy Lew Christoforowicz tego samego ranka dotarłszy na szczyt wzgórza zobaczył sterczący z ziemi tępy ryj ciągnika betoniarki, gotów był powrywać sobie włosy z głowy.

Choć w zasadzie niewiele do wyrwania ich zostało.

Wkrótce zjawili się Marina i Arkasza. Byli niewyspani, ale powodem ich braku snu nie było to, co myślicie, tylko podniecenie naukowe. O świcie precyzyjnie się obok betoniarki i przekonali się, że maszyna rozgniotła głowę jednego z największych na Ziemi gadów. Szkoda była nie do naprawienia.

— Ile nam zostało dinozaurów? — ponuro zapytał profesor.

— Sześć — odpowiedziała Marina. — Ale jeden bez ogona.

— Mniej niż Murzynków — stwierdził profesor. Miał na myśli znaną powieść Agaty Christie, w której Murzynków kolejno usuwa z kart książki morderca.

— A ja wciąż jeszcze nie mam żadnego pomysłu... — westchnął Minc. — Jestem już stary i do niczego się nie nadaję. Chyba że na złom.

Nisko, dotykając niemal wierzchołków drzew, w stronę miasta poleciał amerykański kosmiczny badawczy pojazd „Challenger”.

— Czego tu szukają? — zapytał Arkasza. — Kto im pozwolił?

„Challenger” miał jednak pozwolenie. Z oddziału reanimacji akademik Bujerak połączył się z amerykańskim prezydentem, który wiedział już o dinozaurach, choć Amerykanie na razie nie wtrącali się w wewnętrzne sprawy Rosji. Bujerak stwierdził, że pilnie potrzebuje zdalnie sterowanego inwalidzkiego wózka z automatyczną skrzynią biegów. Prezydent zadzwonił do dotkniętego paraliżem znanego amerykańskiego fizyka Hawkinga i zapytał, czy ten przypadkiem nie ma jakiegoś wózka na zbyciu. Hawking natychmiast zgodził się pomóc rosyjskiemu koledze. Żeby nie tracić czasu po próżnicy, wózek załadowano od razu na „Challengera”, który akurat szykowano do międzynarodowego lotu z mieszaną załogą rosyjsko—chińską. Dowództwo Rosyjskich Sił Powietrznych nie mając innego wyjścia wyraziło zgodę — i „Challenger” przywiózł wózek akademikowi. Minc i jego towarzysze zobaczyli akurat moment lądowania.

Przykro powiedzieć, ale w pamięci wszechwiedzącego pokładowego komputera „Challengera” nie znalazł się plan Wielkiego Guslaru. Dlatego, zrzucając wózek na spadochronie, Amerykanie chybili i zapakowany w ognioodporną powłokę pojazd wylądował na terytorium zrzeszenia działkowców „Jagódka”, którego członkowie akurat zbierali ziemniaki.

Po niebie krążył amerykański prom kosmiczny, z którego pokładu emitowano przez głośniki prośbę, by wózek natychmiast odtransportowano na oddział reanimacji Pierwszego Miejskiego Szpitala Klinicznego.

Ogrodnicy rozpakowali wózek i przez chwilę podziwiali zagraniczną konstrukcję, a potem spełnili prośbę kosmonautów. Kiedy akademik usłyszał, że nadchodzi, wyskoczył im naprzeciw przez okno.

Działkowicze natychmiast się zmyli i okazało się, że wózek nie ma kół. Jakiś spryciarz zdążył je buchnąć, kiedy wózek wieziono do kliniki.

Na szczęście akurat wtedy zjawili się w Wielkim Guslarze uczniowie i asystenci akademika Bujeraka pod wodzą jego siedemnastej żony, Maszeńki Bujerak, przyjaciółki prawnuczki starszego syna Bujeraka z czwartego małżeństwa.

Żona i uczniowie podnieśli krzesło z nauczycielem i ponieśli je na wzgórze. Kiedy dźwigali wózek, zaopatrzony w niewielki silniczek atomowy i automatyczną rękę, która nieustannie zapisywała myśli pasażera, w domu wujka Wieni zebrały się największe tuzy świata przestępczego guberni wołogodzkiej i Jamalsko—Nenieckiego Obwodu Autonomicznego. Postawienie daczy na wierzchołku wzgórza stało się dla nich sprawą honoru i mołojckiej sławy.

Walka sił Zła z siłami Dobra nigdy jeszcze nie rozgorzała w Wielkim Guslarze z taką mocą.

Świat nauki za wszelką cenę pragnął zapobiec zniszczeniu odcisków i wydobyć z pieczary choćby kilka bestii. Rozwiązanie było gdzieś blisko, brzęczało w uszach i migotało przed oczami...

Cel zbliżającego się akurat do wierzchołka wzgórza akademika Bujeraka był nieco inny. Wiedział on, że niewiele mu już zostało życia. Choćby do jego dyspozycji oddano wszystkie siły medyczne tego świata, nie zdołają go na nim utrzymać na dłużej. Tymczasem pełen zawistników świat nauki nie chciał się pogodzić z wizerunkiem triceratopsa, odtworzonego z natury przez profesora na podstawie wieloletnich badań i wysiłków. Przeciwnicy koncepcji akademika twierdzili mianowicie, że brak mu materialnych dowodów. Otwartym pozostawało pytanie, czy triceratops chleptał wodę jęczorem, zginał kolana czy po prostu wyciągał szyję. Akademika Bujeraka ogarniała zgroza na myśl o tym, co zrobią z jego odkryciem młodzi barbarzyńcy, kiedy po raz ostatni zamknie powieki. Pamięć o losie Charlesa Darwina, bezbronnego po śmierci wobec odkryć młodych genetyków, zmuszała Bujeraka do kurczowego trzymania się życia. A niekiedy tak bardzo chciało się umrzeć i wreszcie odpocząć!

Spróbujecie zrozumieć wielkiego uczonego — nie za bardzo go interesował los jaszczurów, których negatywy zakute były wewnątrz wzgórza. Interesował go wyłącznie triceratops. Właśnie jego chciał zobaczyć, żeby móc się chępić swoją naukową przenikliwością.

Celem Arkadija było zdobycie serca pięknej Mariny i być może odrobiny sławy jako odkrywcy pompejańskich dinozaurów. Przychylność dziewczyny była dla młodzieńca znacznie ważniejsza, niż sława.

Celem Mariny było odzyskanie włosów. Wydawało się jej, że dziewczyna z taką jak ona fryzurą, a właściwie z jej brakiem, nie może zawojować serca Arkadija.

Anatolij Liebiedziński nie miał żadnego celu, bo — być może na szczęście dla siebie i innych — tkwił w strumieniu czasu.

Celem Mariny było odzyskanie włosów. Wydawało się jej, że dziewczyna z taką jak ona fryzurą, a właściwie z jej brakiem, nie może zawojować serca Arkadija.

Anatolij Liebiedziński nie miał żadnego celu, bo — być może na szczęście dla siebie i innych — tkwił w strumieniu czasu.

A tymczasem jego żona, Katierina, cierpiała w samotności, porzucona przez wszystkich i ogarnięta nienawiścią do wujaszka Wienera, który wszystko tak urządził, że wyszło, jak wyszło. O swojej roli w wydarzeniach wołała nie myśleć.

Korneliusz Udałow miał własny cel — po raz kolejny chciał rozslawić rodzinne miasto i całą Ziemię, co już w przeszłości nieraz mu się udawało.

Możecie więc sobie wyobrazić, ile rozmaitych i przeciwstawnych celów mieli bohaterowie naszego dramatu!

Najbliżej osiągnięcia celu był oczywiście akademik Bujerak.

Mimo tego, że świat przestępczy miał nad nim fizyczną przewagę, Bujeraka popierała światowa opinia publiczna, nieświadoma tego, iż opanował go wirus próżności.

I kiedy Minc z Udałowem zastanawiali się, jak wydobyć dinozaury nie uszkodziwszy jaskiń, kiedy Arkadij z Mariną marzyli o wzajemności, a kacykowie podziemia szukali dojść do Kremla, żeby zneutralizować działania zaginionego Liebiedzińskiego, akademik w otoczeniu tłumu uczniów i ciągnięty przez żonę docierał już do wzgórza.

Intuicja mu mówiła: „Wejście do triceratopsa jest z prawej, pod korzeniami tej oto sosny!”.

— Kotku! — zwrócił się akademik do młodej żony.

— Ja też się za tobą stęskniłam! — odpowiedziała żona, fałszywie interpretując słowa męża i nachylając się nad nim, żeby go pocałować.

Akademik łagodnie odsunął stęsknioną kobietę i powiedział:

— Nie tu i nie teraz. Najpierw zrobimy dinozaura.

— A potem dzieciątko! — podnieciła się młoda żona, która była pełna obaw, że

poprzednie żony i ich dzieci wyślizgają ją z daczy i mieszkania, jeżeli małżeństwo nie zostanie wzmocnione obecnością dzieci.

Uczniowie skwitowali jej zapał gniewnymi syknięciami.

— Dawać tu gips! — rozkazał akademik.

Część studentów ustawiła się w szereg ze szczytu wzgórza do pracowni rzeźbiarza Hulaj — Guslarskiego, u którego akademik wykupił cały zapas gipsu, inni połączyli żywym łańcuchem pagórek i rzeczkę, skąd czerpali wiadrami wodę i podawali jedni drugim.

Pozostali, najbardziej zaufani, lali ciekły gips w otwór pieczary. Robili to szybko, bo gips nie powinien stwardnieć, zanim nie dotrze do wszystkich zakamarków jamy.

Wreszcie młoda żona krzyknęła:

— Jest wypełnienie!

Życie zawodowe rozpoczęła jako asystentka wziętego dentysty, który nie mógł się z nią ożenić, dlatego że nie pozwalała mu mama. Ale niektóre terminy zapamiętała i wiedziała, jak przebiega kanał zęba. Dlatego cała operacja z dinozaurom wydała jej się podobna do plombowania.

— A teraz — powiedział akademik Bujerak — zacnie się najtrudniejsze. Trzeba wam będzie usunąć zewnętrzną powłokę, w której zamknięty jest nasz ptaszek. Zaraz moja małżonka rozda wam podręczne młoty pneumatyczne. Do dzieła!

Nad wzgórzem i lasem rozległ się straszliwy łoskot, który zatrwożył profesora Minca. Lew Christoforowicz poderwał się i pobiegł, zapominając o wieku i chorobach. Marina i Arkadij z różnych stron rzucili się ku wzgórzom, a najważniejsi szefowie grup mafijnych rozbiegli się do swoich jeepów i także wzięli kurs na rezerwat martwych dinozaurów.

I wszyscy się spóźnili.

Dziarscy i pełni zapału uczniowie akademika Bujeraka zdążyli już rozpylić zachodnią część wzgórza. Z tego ciemnego pyłu wyłonił się niczym biały feniks potężny triceratops, jedno z najdziwniejszych stworzeń zrodzonych z kaprysu sfer niebieskich.

Przeciwnicy akademika, którzy przybiegli bądź przyjechali na miejsce, bojąc się podejść bliżej zgromadzili się na skraju polany, ponieważ uczniowie Bujeraka nadal obijali i rozdrabniali kamienie, zamieniając w pył to, co przyroda tak pewnie i delikatnie chroniła ponad pięćdziesiąt milionów lat.

— „Jednego ugryzła pszczoła...” — odezwał się profesor Minc. — Zostało tylko...

Spojrzał pytająco na Marinę.

— Pięć dinozaurów — odpowiedziała dziewczyna. — Pięć jaskiń.

— Znów się przeliczyłem — stwierdził ponuro Minc.

Nie mógł nawet ofuknąć akademika, bo ten nie usłyszałby go poprzez huk, jaki czyniły młotki.

Bujerak patrzył na triceratopsa błyszczącymi z entuzjazmu oczami.

— Właśnie tak! — krzyczał. — Klękał, klękał!

— Kto klękał?

— Triceratops! Patrzcie! Zobaczcie wszyscy — widzicie? Ma odciski na kolanach! Moja genialna intuicja mnie nie zawiodła! Przy wodopoju klękał, klękał!

I właśnie w tej, będącej momentem największego naukowego tryumfu akademika Bujeraka chwili, na polanę wdarło się trzynaście jeepów wołogodzkich i nenieckich królów przestępczego podziemia.

Z pierwszego wyskoczył wujaszek Wienia i zobaczył białego triceratopsa. Ogromna bestia górowała nad grupą ludzi, zgromadzonych wokół wzgórza.

Z tego wszystkiego wujaszek Wienia rozumiał jedynie, że wszyscy ci ludzie zrobili tu jaszczura specjalnie po to, żeby jego, prostego człowieka pracy, pozbawić możliwości zbudowania skromnego domku na wzgórzach.

— Ralf! — ryknął straszonym głosem. — Ognia!

Ralf nie tracąc chwili namysłu wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu i zaczął walić w dinozaura — unikalnego przedstawiciela mezozoicznej fauny — ze wszystkich rur, które miał w zasięgu ręki. A miał ich wiele i były grube.

Trzeba powiedzieć, że w środowisku przestępczym strzelanina uważana jest za zajęcie zaraźliwe. Wołogodzcy i neniecty kompani wujaszka Wani natychmiast się przyłączyli do palby. Z dinozaura poleciały kawałki gipsu. Kilka kul trafiło w odciski na jego kolanach.

— Och nie! — jęknął akademik Bujerak.

Niesiony wyłączną siłą ducha — koła jego inwalidzkiego wózka ukradli przedsiębiorczy działkowicze — wzleciał w powietrze i z pewnym opóźnieniem zasłonił swoją nikłą pierśią nieszczęsnego triceratopsa.

Strzelanina, ma się rozumieć, ustała.

Ale nie od razu.

Akademik Bujerak zwałił się na ziemię obok resztek dinozaura.

Jego twarz wygładziła się i przybrała wyraz tryumfalnego zachwytu. Umarł kończąc swoją długą drogę życiową ostatnim naukowym osiągnięciem. Nie tylko rozstrzygnął wszystkie spory dotyczące szczegółów anatomicznych budowy triceratopsa, ale uratował (tak przynajmniej mu się wydało) kopalne zwierzę z rąk wandalów.

— Zabiliście laureata Nagrody Nobla! — zawyła młoda małżonka wiekowego akademika, pochylając się nad martwym ciałem męża. — Nie będzie dla was litości!

Cała atmosfera miejsca tej antycznej tragedii była tak przygniatająca i podniosła zarazem, że nawet bandyckich szefów ogarnęło przerażenie.

Na rozdygotanych nogach zaczęli się cofać ku swoim samochodom.

Nie zdążyli jednak do nich dotrzeć, ponieważ z góry, z miejsca gdzie koszącym lotem ślizgał się kosmiczny prom „Challenger”, rozległ się grzmiący ryk z głośników:

— Akademiku Bujerak, będziesz pomszczony! Nie ma litości dla morderców!

Bandydzi, włamywacze, gwałciciele i rozmaitej maści opryszkowie rozbiegli się na różne strony, ale niedaleko puciekali!

„Challenger” zniżył się prawie ku samej ziemi i wypadła z niego cienka, ale mocna sieć, która nakryła zgromadzenie, i w okamgnieniu wszyscy wrzeszczący, ryczący i grożący zemstą bandyci zostali związani, spętani jak barany i porwani w czeluście okrętu.

Zaraz potem „Challenger” wzbił się na orbitę i wziął kurs na mało znaną nauce dziesiątą planetę. Słyszeliście o niej?

Być może, szanowny czytelniku, niezbyt dobrze orientujesz się w teoretycznej astronomii, więc otworzę ci oczy.

Oszukują cię!

System Słoneczny bezy sobie więcej planet, niż uczą w szkole. Tak zwana dziesiąta planeta znajduje się w tej samej odległości od Słońca, co nasza Ziemia. Zobaczyć jej z Ziemi się nie da, ponieważ nie tylko odległość od Słońca, ale i jej szybkość ruchu po orbicie jest dokładnie taka sama, jak ziemską. O wszystkim decyduje jeden ciekawy szczegół — dziesiąta planeta znajduje się po przeciwnej stronie Słońca w stosunku do Ziemi i zawsze się za nim kryje. Dotrzeć do niej jest dość łatwo — wystarczy wznieść się nad Ziemię i poczekać, aż Dziesiąta do ciebie przyleci.

O istnieniu Dziesiątej wiadomo było od dawna, ale rządzące koła USA i Związku Radzieckiego skrywały prawdę przed społeczeństwami w nadziei, że zdołają planetę wykorzystać do swoich celów. Jeżeli komukolwiek w głowie rodziła się buntownicza myśl, czy przypadkiem nie ma czegoś po drugiej stronie Słońca, natychmiast go likwidowano. Przydarzyło się to na przykład radzieckiemu pisarzowi fantascie Bielajewowi, który niczego nie podejrzewając opublikował powieść „Dziesiąta planeta”. Wkrótce potem zmarł z niewiadomych przyczyn. Po nim odeszli z tego świata redaktor książki, korektor, a po sześciu latach — dyrektor drukarni — co wiele daje do myślenia.

W chwili obecnej przed ludzkością staje problem zasiedlenia dziesiątej planety, co robi się w ścisłej tajemnicy. Właśnie tam wyprawiono bandytów z Wielkiego Guslaru. O ich losie i losach dziesiątej planety opowiemy w innym miejscu i czasie.

Jedynym, który nie ucierpiał, był ochroniarz Ralf. W ogólnym zamieszaniu i zawierusze udało mu się urzeczywistnić swoje najbardziej skryte marzenie — ostatecznie i nieodwołalnie zamienił się w psa.

Rosły, rudy pies zadarłszy ogon pognął do miasta. W lesie pies nie ma nic do roboty.

Minc i Udałow obnażyli głowy.

Profesor, myśląc o swoim problemie, powiedział:

— Jeden z małych Murzynków poszedł się bawić z cielęciem. .. Ile nam zostało tych dinozaurów?

— Nie za wiele — odpowiedziała Marina. — I jeżeli zaraz czegoś nie zrobimy, będzie jeszcze mniej.

I wtedy pełną trwogi i napięcia ciszę przerwał głos profesora Minca:

— Eureka!

ROZDZIAŁ 11

Lew Christoforowicz zaprosił wszystkich do swojego gabinetu.

Był w tym podobny do znakomitego detektywa Poirota, który choć zgolił wąsy, nie pozbył się dawnego nawyku zbierania świadków i podejrzanych, żeby ich powiadomić o wyniku pracy swoich szarych komórek.

Najpierw otworzył drzwi lodówki i wyjął z niej litrową butelkę wody.

— Moje odkrycie w istocie wcale odkryciem nie jest — oznajmił. — Trzeba mi było tylko coś sobie przypomnieć.

Poruszył butelką. Wszyscy patrzyli na nią jak zaczarowani, bo nie wiedzieli, co profesor zamierza powiedzieć. A jeżeli butelka wybuchnie w jego ręce albo sypną się z niej confetti?

— Być może zdarzyło się wam usłyszeć albo gdzieś przeczytaliście — ciągnął Minc — że woda ma pewną właściwość, którą można porównać do pamięci.

— Ależ tak! — najszybciej zareagowała prymuska Marina. — Ale zawsze myślałam, że to nawet nie wymyśli fantastów, tylko czystej wody spekulacje. Na naszych słabostkach zawsze żerują szarlatani.

— Zupełnie słusznie — zgodził się z nią Mina — Ale tak czy owak woda posiada właściwość zapamiętywania obcych jej elementów. Zostało to sprawdzone doświadczalnie. Na przykład, choćby nie wiedzieć jak rozcieńczać zawarte w niej perfumy „Chanel”, woda zachowa ich aromat. Nawet, kiedy w litrze wody zostanie jedna jedyna cząsteczka zapachu. To zresztą skomplikowane zjawisko, którego i tak nie zrozumiecie. I na dodatek nie ma żadnego związku z naszym problemem.

Minc postawił butelkę na stole. Udałow wziął ją do ręki i dobrze się jej przyjrzał. Przywykł wszystko sprawdzać.

— Ważne jest to, że woda zapamiętuje.

— Nawet, jeżeli my w to nie wierzymy? — zapytała Marina.

— Młoda osobo — rzekł profesor Minc — uczeni z zasady są ludźmi nieufnymi. Starają się sprawdzać wszystko, co im mówią entuzjaści, miłośnicy tanich sensacji, oszuści i byli matematycy. Najwyżej sobie cenimy doświadczenie, jako jedyne kryterium poznania prawdy. Jeżeli wam udowodnię, że woda może pamiętać, to nasza hipoteza przejdzie do kategorii faktów.

— Zrozumiałam, Lwie Christoforowiczu — odpowiedziała dziewczyna.

— Pamięć wody, to klucz do odtworzenia dinozaurów. Ale zapamiętanie zapachu, to jedna sprawa. A czy woda potrafi zapamiętać kształt?

— Bzdury! — stwierdził kategorycznie Udałow.

— Całkowicie się z tobą zgadzam — odparł Minc. — Zwykła woda z pewnością kształtu nie zapamięta. Trzeba jej pomóc. Zsyntetyzowałem więc formalhydrosolkompakt. Jak wam się to podoba?

Wszyscy stwierdzili, że podoba im się ogromnie, choć nikt niczego nie rozumiał.

— Jeżeli na sto części wody dodać zero całych, dwie setne części formalhydrosolkompaktu, to woda nabierze zdolności zapamiętywania i odtwarzania kształtu naczynia, w którym znajdowała się przedtem... Sprawdźmy tę hipotezę.

Z pudełka zapalek Minc wydobyl torebkę z przezroczystej plastikowej folii, rozwinął ją, uformował z niej niewielki zbiorniczek i polecił Udałowowi wylać do niego nieco wody z butelki. Potem zręcznie zawinął pakiecik i związał na węzełek. Otrzymał niewielką plastikową bulwę pełną wody.

— Teraz popatrzcie, przyjaciele! — zawołał entuzjastycznie.

Przyjaciele patrzyli, nie odrywając wzroku od pojemnika.

Pakiet z wodą zastanawiał się przez minutę, może dwie, a potem zaczął zmieniać kształt —

drgnął, poruszył się niespokojnie i powoli zaczął wyciągać ku górze coś na kształt szyjki, upodabniając się do sporej gruszki. Nie zatrzymał się i kontynuował przekształcenie, dopóki kompletnie się nie zmienił w doskonałą kopię butelki.

W pokoju zabrzmiały oklaski.

Na oczach obecnych rodził się kolejny, wielki wynalazek profesora Minca.

Entuzjazm przyjaciół nieco zmieszał Lwa Christoforowicza.

— Wystarczy — powiedział. — Wszystko to drobiazgi. Widać jednak było, że uznanie mu pochlebilo.

— Cóż więc teraz zrobimy? — zapytał.

— Jeżeli pieczarę napełnimy wodą — domyśliła się bystra Marina — a potem wodę spuścimy do jakiegoś przenośnego, plastycznego zbiornika, to przyjmie on kształt dinozaura.

— I co z tego? — zapytał Arkadij. — Będziemy trzymać odcisk w worku?

— Nie! — oznajmił profesor. — Po specyficznej obróbce worek straci miękkość, stanie się twardym i trwałym, choć pustym wewnątrz dinozaurem! Opracowałem już odpowiedni proces fizyczny!

Po tych słowach profesor spryskał miękką butelkę z pamiętliwą wodą jakimś środkiem, używając do tego niewielkiego pulweryzatora. Po dwóch minutach powłoka butelki pociemniała. Minc uderzył w nią paznokciem. Powłoka odpowiedziała dźwiękiem, podobnym do przeciągłego jęku kryształu.

Następnie Minc wziął z półki szczypce i jednym zręcznym ruchem obciął wylot szyjki.

Przechyliwszy butelkę nad stojącym na roboczym stole ocynkowanym zbiorniczkiem wylał z niej wodę, która radosnym bulgotem skwitowała powrót do dawnego bezkształcia.

Sprawdziwszy, że butelka jest pusta, Lew Christoforowicz podał ją przyjaciołom do obejrzenia.

Butelka była lekka, jakby ją zrobiono z papieru. Udałow pomyślał, że materiał najbardziej przypomina mu masę, z jakiej osy lepią swoje gniazda.

— Ostrożnie, przyjaciele — poprosił Minc. — Nie zgniećcie jej. Ta butelka jest na razie jedynym dowodem na to, że mam rację.

— Niełatwa sprawa — stwierdził praktyczny Udałow. — Ileż to wody trzeba będzie przetransportować na szczyt wzgórza...

— Poprosimy o pomoc strażaków — zaproponował Arkadij. — Z pewnością okażą się patriotami Wielkiego Guslaru.

— To nie traćmy czasu! — podniósł się Minc. — Chodźmy do strażaków!

ROZDZIAŁ 12

Do strażaków posłano Marinę.

Dziewczyna bała się troszeczkę tych surowych i męźnych ludzi.

Kiedy weszła do remizy, strażacy grali w karty, a niektórzy odpoczywali w oczekiwaniu na wezwanie.

— Przyjaciele! — odezwała się piękna Marina. — W waszych rurach honor i sława naszego miasta!

Gracze porzucili karty, ci co spali natychmiast się pobudzili i wszyscy z zapartym tchem spojrzeli na Marinę.

— Wewnątrz Bojarskiej Mogiły są zamknięte odciski dinozaurów, jakich nie ma nigdzie na świecie! Trzeba je ratować.

Zaraz potem Marina wyłożyła w czym rzecz, włączając w to odkrycie profesora.

Strażacy patrzyli na Marinę ufnie i uważnie. Są takie dziewczyny, którym chce się wierzyć.

Szczególnie niezatarte wrażenie wywarła Marina na duszy lejtnanta Władimira Popowa, tego samego, któremu Gubernialna Komenda Straży Pożarnej wyraziła wdzięczność za sprawną organizację działań tudzież osobiste bohaterstwo wykazane przezeń podczas akcji ratowniczej i gaszenia pożaru świniami w Tiutkowie.

A gdy Marina dla potwierdzenia prawdy swoich słów i wzmocnienia efektu swojego wystąpienia zaczęła demonstrować album akademika Bujeraka „Paleontologia nie dla wszystkich” i reprodukcję obrazu Karla Briułłowa „Ostatni dzień Pompei”, lejtnant Popów podszedł do niej bliżej i dosłownie zaczął ją pożerać wzrokiem. Nie bardzo nawet słuchał tego, co dziewczyna mówi, ale gotów był dla niej zjedną gaśnicą skoczyć do gaszenia wulkanu Kluczevska Sopka, albo nawet podpalić coś absolutnie niepalnego.

Po wykonaniu zadania w remizie Marina poszła na nadrzeczny bulwar, gdzie spacerując z Arkadijem przyznała mu się, iż spodobał jej się pewien oficer strażak, ale nie w sensie miłosnym, tylko w sensie szacunku.

Arkadijowi natomiast zupełnie się ten strażak nie spodobał. I miał rację.

Dlatego, że właśnie w tej chwili drugi beczkowóz porucznika Popowa z obsadą rwał drogą w stronę znanego już nam wzgórza.

Porucznik Popów polecił zatrzymać się pod wzgórzem i posłał sierżanta Czilingarowa z kaukaskich mahometan, żeby zbadał możliwości znalezienia wejścia do pieczary, w której znajduje się powłoka dinozaura. Tymczasem inni członkowie obsady rozwijali parciane węże, montowali pompę i ciągnęli rury do pobliskiego strumienia.

Lejtnant się spieszył, licząc na to, że napełniwszy pieczarę wodą zaskarbi sobie wdzięczność Mariny.

Przez cały wieczór dzielni strażacy pompowali wodę ze strumienia do pieczary numer 3, która była powłoką unikalnego tyranozaura. Woda płynęła, ale nie napełniała pieczary, bo w tej były otwory.

Kiedy zrobiło się ciemno, załoga zażądała przerwy, powołując się na Kodeks pracy, który znajdował w tej sytuacji zastosowanie, ponieważ akcji nie przeprowadzano podczas pożaru stanowiącego zagrożenie dla życia obywateli.

— Posłuchajcie, towarzyszu poruczniku — powiedział Czilingarow w imieniu całej obsady. — Wrócimy jutro i dopompujemy.

I mimo gwałtownych protestów porucznika, strażacy odjechali.

Wszyscy rozeszli się do domów. A Popów, jako że był kawalerem, przeszedł się po ulicach licząc na spotkanie z Mariną.

I trzeba trafu — spotkał obiekt swoich westchnień!

Marina pożegnawszy się chłodno z Arkadijem wracała akurat w ponurym nastroju do domu. Ostatecznie Arkadij nie miał prawa być zazdrosnym o zupełnie niewinny szacunek, jaki żywiła do lejtnanta!

I właśnie wtedy spotkała lejtnanta na cichej, pogrążonej w półmroku, bocznej uliczce.

Lejtnant był niewysoki, bez czapki, a jasny czub jego czupryny sterczał ku niebu niczym słoneczna protuberancja.

— Marino... — powiedział Popów. — Chwilowe niepowodzenia nas nie powstrzymają. Jak to się mówi, zrobiłem wszystko, co mogłem.

— Coście zrobili? — przestraszyła się nagle Marina. Przecież o nic lejtnanta nie prosiła.

— Zgodnie z planem — odpowiedział lejtnant — obsada numer dwa wyjechała na obiekt „Bojarska Mogiła”, gdzie przeprowadzono ćwiczenia dotyczące zalewania wodą istniejących tam jaskiń. Na chwilę obecną nie udało się jednak zapełnić pieczar całkowicie. Wasz profesor, o którym tak zajmująco opowiadaliście, może dodać do wody swój środek dla jej utwardzenia.

„Boże!” — zrozumiała Marina. — „Przecież oni wszystko pojęli na opak!”

— Co wyście narobili?! — jęknęła. — Wszystko popsuliście!

— Nic podobnego — obraził się lejtnant. — Zrobiliśmy tak, jak mówiliście!

Zostawiwszy urażonego oficerka na ulicy, Marina pobiegła do Lwa Christoforowicza.

— Najgorsze jest to — stwierdził Udałow, który był właśnie u swego przyjaciela — że woda ze strumienia przepływa przez zakłady przemysłu skórzanego.

— Garbniki? — westchnął Minc.

— Żeby tylko one! — sapnął Udałow.

Wszyscy postanowili, że o świcie pójdą na wzgórze.

ROZDZIAŁ 13

Rankiem potwierdziły się najgorsze podejrzenia profesora Minca. Przesycona garbnikami woda ze strumienia, którą zalali pieczary strażacy, strawiła, zmyła i starła delikatne detale skór dinozaurów. Zostały tylko przybliżone kształty.

— Czterech małych Murzynko w poszło do lasu po mech... — mruknął profesor Minc. — Ile pieczar zniszczyli nasi dzielni strażacy?

— Trzy dolne.

— A ile zostało?

— Podejrzewam — odparł Arkadij — że nie tknęli górnej. Ostatniej.

— No cóż — stwierdził Minc — Przegrałem bitwę ze współczesnością. Ostatnie odciski dinozaurów przez pięćdziesiąt miliomów lat spokojnie czekały na swoją godzinę w tych jaskiniach. I proszę, w ciągu trzech dni zdołaliśmy wspólnym wysiłkiem zniszczyć niemal wszystkie pieczary. Zasłużyliśmy na łaskę w postaci ostatniego dinozaura?

— Wątpię — odpowiedział Arkadij.

— Uznajmy, że ich w ogóle nie było — dodał Udałow. Sprzeciwiła się Marina.

— Przecież w tym samym czasie — orzekła — Lew Christoforowicz dokonał jednego wielkiego odkrycia i kilku pomniejszych. .. A nasze miasto pozbyło się bandytów.

— Dziękuję za uznanie — odpowiedział Minc. — Ale na pomoc strażaków liczyć już nie możemy. Drugi raz tu nie przyjadą. Sam bym ich tu zresztą nie wpuścił.

— Więc co zrobimy? — zapytała zmartwiona Marina, która czuła się winna. Czemuż ten lejtnant nie zakochał się w Mincu, tylko w niej?

— Pomoże nam ten — odezwał się zagadkowo Minc — którego wśród nas nie ma i być nie może; którego nie znajdzie się na Ziemi, ani w kosmosie.

Wypowiedziawszy tę mglistą frazę Minc pospieszył do miasta dobrze już poznaną w ciągu ostatnich dni, wydeptaną i rozjeżdżoną przez rozmaite koła drogą.

— Zrozumieliście coś z tego? — zapytała Marina.

— Ja chyba tak — odpowiedział jej Udałow. — Zostańcie tutaj i strzeżcie tego ostatniego dinozaura jak żrenicy oka! I żeby mi potem nie było żadnych usprawiedliwień: byliśmy zajęci czym innym, bo się całowaliśmy!

— Jak panu nie wstyd! — zaperzyła się Marina.

— Jeżeli się okaże, że nie miałem racji — odpowiedział Udałow — to możecie we mnie rzucić kamieniem, ale dopiero jak wrócę.

Okazało się, że nie miał racji.

Młodzi ludzie się nie całowali. Akurat w tym czasie ich miłość poddana została pierwszej poważniejszej próbie. Arkadij nie mógł Marinie wybaczyć lejtnanta Popowa, a Marina nie mogła wybaczyć Arkaszy podejrzeń, jakie ten żywił w związku ze strażakiem.

Pilnowali więc pieczary, a tymczasem starsi — Minc i Udałow — dobiegli do swojego domu, gdzie Lew Christoforowicz włączył komputer, żeby obliczyć, w jaki sposób najlepiej przerwać lot mera Wielkiego Guslaru, Anatolija Liebiedzińskiego, w strumieniu czasu.

Po czterdziestu minutach Anatolij Borysowicz siedział już na podłodze gabinetu z anielskim uśmiechem.

— Wspaniale! — odezwał się z ulgą Udałow. — Zawsze mocno przeżywam te podróże w czasie. Boję się, że zamiast człowieka pojawi się jego noga albo ucho!

— Udałow, skończ z tymi twoimi głupimi żarcikami! — przerwał mu Minc i zwrócił się do mera: — Musicie pomóc powierzonemu waszej pieczy miastu!

— Miastu... tak, miastu! — W jednej chwili Liebiedziński wszystko sobie przypomniał. — O nie! — zawołał. — Tylko nie to! Gdzie bandycy? Zabójcy? Wyślijcie mnie jeszcze raz w przeszłość albo w przyszłość!

— Milczeć! — zagrział Minc. — W waszych rękach jest przyszłość miasta!
— A wujaszek Wienia?
— Co wy ciągle z tym waszym Wienią? — zdenerwował się Minc. — Nie ma już wujaszka Wieni!
— A gdzie jest?
— Na dziesiątej planecie.
— To daleko?
— Około miliona kilometrów od Ziemi.
— Wspaniale! — ucieszył się Liebiedziński.
— Ale dinozaury są w niebezpieczeństwie — stwierdził sucho Minc.
— Jakie dinozaury? — Dopiero teraz mer przypomniał sobie historię z odciskami dinozaurów, przez którą musiał wdziewać plecaczek czasu.

Jako człowiek doświadczony, zahartowany w organizacji pionierskiej i w Komsomole, szybko odzyskał rezon.

— Zameldujcie, jak wygląda sytuacja — zażądał kategorycznie. — W jaki sposób udało się udaremnić knowania elementów przestępczych i unieszkodliwić bandycką szajkę? W jakim stanie aktualnie znajdują się prehistoryczne jaszczury? Połączyliście się z Moskwą? Jakie są nastroje społeczeństwa? A przy okazji, czy podczas mojej nieobecności nikt mi nie podłożył świni?

Minc i Udałow opowiedzieli wszystko, włącznie z planami związanymi z pamiętliwą wodą.

Liebiedziński chwilowo się załamał. Liczył na to, że dinozaurów znajdzie się dość, żeby otworzyć w mieście specjalne prehistoryczne muzeum, do którego będą się zjeżdżały wycieczki z całego świata. Ale szybko uświadomił sobie, że trzeba ratować ostatniego jaszczura, w przeciwnym razie wszystko, co zrobił do tej pory, włącznie z podróżą w czasie, zostanie zmarnowane.

— No cóż, dziękuję wam, towarzysze — powiedział z przekąsem. — Odprowadźcie mnie do merostwa, żebym mógł zorganizować prace. Szkoda, że mnie nie było w mieście — na nieszczęście prawie wszystko spartaczyliście... Nie, nie można wam powierzyć tak odpowiedzialnego zadania.

Przez całą drogę do merostwa Liebiedziński czynił Mincowi wymówki i wytykał mu złą organizację robót.

Sekretarka Liebiedzińskiego, która już ozdobiła jego portret żalobną krepu, i współpracownicy (ci zdążyli obrabować jego gabinet ze wszystkich długopisów, notesów i zwędzili nawet ilustrowany kalendarz ścienny), rozbiegli się w trwodze po kątach. Spodziewali się — i słusznie — że gniew szefa będzie straszny i sprawiedliwy.

Liebiedziński natychmiast pojął, w czym rzecz i pomyślał i z uśmiechem, że los wystawił jego pomocników na próbę. Bez zbędnych słów przeszedł do swego gabinetu, podliczył z grubsza straty i zaczął obdzwaniać miejskie służby i przedsiębiorstwa, gdzie także znalazł wielu winnych.

Kiedy po czterdziestu minutach w towarzystwie Udałowa i Minca podjechał na wzgórze, podciągano już tam środki techniczne. Pierwsze zjawyły się dwa czerwone wozy strażackie z wężami i pompami, oraz równie jak one czerwona i jaskrawa cysterna z wodą z miejskich wodociągów, otwarta z góry i dlatego podobna do emaliowanego garnka bez pokrywy. Zaraz potem przyjechała ciężarówka z gipsem do zatykania wszelkich dziur i dziurek, przez które mogłaby wyciec pamiętliwa woda. I na wszelki wypadek, oczywiście, karetka pogotowia.

Hydraulicy i gipsiarze pod osobistym kierownictwem Liebiedzińskiego i przy wydatnej pomocy Udałowa pozatykali szpary i pozakładali uszczelki, a strażacy zaczęli poprzez pompy wlewać do jaskini wodę z cysterny, wprowadziwszy do niej uprzednio węże. Kiedy wodę z cysterny przepompowano w górę, Minc wyłożył cysternę cienką błoną i dał sygnał, żeby

wodę wypompowano ponownie do cysterny. Zaraz potem woda popłynęła w drugą stronę — tymi samymi rurami.

I wtedy zaczęło się bajkowe widowisko.

Gdy woda napełniła cysternę, Arkasza z Mariną ściągnęli górne części błonki i zlepili je nad cysterną za pomocą taśmy klejącej. Woda została wewnątrz, niczym farsz kielbasy we flaku. I zaraz potem zaczęła pęcznieć, wydymać się i pełznąć w górę, jakby wewnątrz plastikowej powłoki jakiś niewidzialny olbrzym usiłował wstać i rozłożyć ramiona. Powłoka przybrała formę gruszy i nadal się wyciągała na wszystkie strony.

Przekształcenie trwało około piętnastu minut, a przez cały ten czas nikt z patrzących nawet nie mrugnął.

I oto w otwartej cysternie stoi już ze zwieszonym ogonem i uniesioną nieco głową na długiej szyi, przezrysty, migotliwy, drżący i ciasno opięty cieniutką, tęczową niby bańka mydlana, błonką, dinozaur.

Profesor Minc, w tej podniosłej chwili blady ze wzruszenia, wydobyl z kieszeni niewielki cylinder. Był w nim proszek, który mógł plastyczną błonkę przekształcić w twardą powłokę. Potem będzie można wylać wodę, a powłokę zapełnić czymś bardziej solidnym.

— Dalejże! — rozkazał Liebiedziński. Nareszcie dotarło do niego, że zasłużył na Nagrodę Nobla — jako członek nielicznego zespołu, który dokonał odkrycia superpowłoki.

Podczas gdy myśli Minca, Udałowa i ich młodych przyjaciół zajmował dinozaur i marzenie o tym, żeby zachować go dla potomnych, Liebiedziński, jako prawdziwy przywódca wcale sobie nie zaprzętał głowy prehistorycznym zwierzęciem. Dinozaur — to przeszłość, a każdy godny tego miana wódz patrzy w przyszłość.

Jeden tylko choćby resort obrony z przyjemnością sypnie miliardami. Sam z siebie odpadnie problem maskowania. Wlej do takiej taśmy ciekły czołg, pomaluj go tylko nieco — i proszę, stoi sto czołgów. A prawdziwe ukryte w lesie!

A transport? Nalej do beczki pamiętliwej wody, zawieź, gdzie trzeba, okutaj w tę błonkę Minca–Liebiedzińskiego i już masz ma przykład wieżę przekaźnika radiowego, którą w przeciwnym razie trzeba byłoby taszczyć na trzech trailerach.

A szpiegostwo? Przywozisz z wrogo nastawionego kraju butelkę lemoniady. A to wcale nie lemoniada! Nie, to tajny, wykorzystywany przeciwko nam przyrząd, który wrogowie skonstruowali w wielkiej tajemnicy, a nasz człowiek w równie wielkiej tajemnicy go skopiował. Wrócił do domu, wlał wodę do plastikowej bańki — i proszę, oto ów przyrząd, macie go, panowie generałowie!

Oto jak można będzie wykorzystać metodę Liebiedzińskiego–Minca!

Mer uniósł dłoń, żeby wydać profesorowi polecenie.

Ale nie zdążył.

W powietrzu rozległ się huk motorów.

Nad polaną zawisło sześć, a może i siedem helikopterów pomalowanych na barwę dziecięcej khaki.

— Niech wszyscy pozostaną na miejscu! — zagrzmiało z góry. — Niech nikt się nie rusza! Operacja Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej!

Z helikopterów zaczęli wyskakiwać ludzie w kewlarowych kombinezonach i z kominiarkami na głowach.

Udałow natychmiast zrozumiał: ci zrobią swoje, wszystkich położą na ziemi, a dopiero potem spróbują ocenić sytuację.

„Doszły moje sygnały do Moskwy! — pomyślał z goryczą Liebiedziński. — Lepiej by było, żeby nie dochodziły”.

„Został nam tylko jeden dinozaur — pomyślał profesor Minc. — I na wszystko mamy zaledwie parę sekund”.

A Marina błyskawicznym ruchem wyciągnęła z torebki nożyczki do paznokci i zręcznie je

otworzywszy nieznacznym ruchem ciachnęła nimi po plastikowej powłoce gada.

— Co robisz! — stęknął Arkasza. — Wszystko zniszczyłaś!

— Milcz! — rozkazał Lew Christoforowicz. — Może to jedyny sposób!

„Robocopy” nie zdążyli nawet jeszcze ułożyć w trawie wszystkich obecnych, kiedy woda z obłoczki rozlała się po całej polanie.

— Kto tu dowodzi? — zapytał dowodzący cyborgami major, nieco tylko niższy od Everestu, ale znacznie bardziej umięśniony niż Schwarzenegger.

— Ja! — Liebiediński spróbował wstać.

— Milczeć! — ryknął major. — Gdzie wasze dinozaury?

— A po co wam one? — zapytała Marina.

— Milczeć! Mamy je wywieźć w bezpieczne miejsce.

— Już ich nie ma — odezwał się Minc. — Zniszczono je.

— Milczeć! Kto zniszczył?

— To długa historia — stwierdził Minc.

— Milczeć! Opowiecie, gdzie trzeba. Władcie do śmigłowca. Bohaterów naszej historii wpakowano do helikoptera. Razem z Liebiedińskim, na którego nikt nie zwracał szczególnej uwagi.

— A co z nami? — zapytał kierowca cysterny.

I wszyscy, kierowcy innych wozów, strażacy, lekarze, budowlańcy i hydraulicy — wszyscy sypnęli pytaniami, co mają robić, skoro byli tylko wykonawcami.

— A wy natychmiast się stąd zmywajcie! — rozkazał major. — Żeby nie przeszkadzać.

Wszyscy odjechali — wozy strażackie, karetka pogotowia i cysterna z ciekłym dinozaurem.

ROZDZIAŁ 14

Minca i jego przyjaciół wypuszczono dopiero następnego ranka.

Nawet ich zresztą nie przesłuchano — major czekał na sygnał z Moskwy.

Zamiast sygnału z Moskwy przysłano specjalistów. Co prawda nie od dinozaurów, ale od leczniczych wanien, dlatego że komputer coś pokitrasił i prośba o konsultantów trafiła nie do Instytutu Paleontologii, jak się tego należało spodziewać, a do Instytutu Balneologii.

Tymczasem członkowie specgrupy zbadali pieczary i na szczęście nie narobili zbyt wielkich szkód.

Na wzgórzu i wokół niego zebrało się mnóstwo ludzi, ale do wyjaśnienia okoliczności dostępu na wierzchołek został zamknięty.

Sęk w tym, że profesor Czukin z Instytutu Balneologii znalazł jednak niewielkie lecznicze źródelko akurat w tej pieczarze, która kryła w sobie odcisk ostatniego dinozaura i zaraz jego specjaliści rozłożyli tam swoje przyrządy. Powiada się, że w przyszłym roku ma tam powstać niewielki kurort.

Ale to sprawa przyszłości. Nas interesuje, co porabiał profesor Minc, gdy tylko go wypuszczono.

Lew Christoforowicz udał się prosto do remizy, z której przyjechała cysterna.

— Posłuchaj pan — powiedział mu kierowca cysterny. — Ja tę wodę od razu wylałem. Po cholere miało mi pluskać nad głową?

— Przepraszam — nie poddawał się Minc — a cysternę pan przepłukał?

— A po cholere? Przecież to nie talerz — uśmiechnął się kierowca.

— Można do niej zajrzeć?

— A patrz pan sobie na zdrowie.

Minc powiódł dłonią po wewnętrznej ścianie cysterny i pociągnął ku sobie cienką błonkę, tę samą, w której wczoraj była woda. Błonka była tak cienka, że zmięta zmieściła się profesorowi w dłoni.

Zlął z cysterny nie bez wysiłku i poszedł do domu.

Wkrótce zjawili się tam pozostali łowcy dinozaurów — brakowało tylko Liebiedińskiego. Idąc do Minca wpadł w łapy błagającej o przebaczenie Katieriny.

Wszyscy byli w ponurym nastroju i żywili przekonanie, że przepadł ostatni dinozaur.

Minc położył na stole błyszczący zwitek.

— Udałow, daj no tu samochodową pompkę.

Błonkę nadmuchano na dworze, zakleiwszy rozcięcie elastyczną taśmą klejącą.

I otrzymano dinozaura.

Minc posypał błonkę proszkiem. Błona zeszywniała, jak papierowa powłoka gniazda os. Wszyscy stali wokół i zachwycali się widokiem potężnego zwierzęcia.

— Pomalujemy go — stwierdził Udałow — i postawimy na placu.

— Nie — sprzeciwił się Arkadij. — Najpierw napełnimy go gipsem.

— A można jeszcze zrobić kopię? — zapytała Marina.

— Choćby dziesięć — odpowiedział Minc, radując wzrok widokiem prehistorycznego jaszczura.

I w tejże chwili powiał wiatr.

Nikły powiew był jednak wystarczająco silny, żeby unieść dinozaura w powietrze.

— Ach! — zawołali wszyscy jednym głosem. W krzyku tym brzmiała rozpacz.

Dinozaur, wciąż jeszcze na poły przejrzysty, pofrunął nad Wielkim Gusłarem niczym zerwany z uwięzi balon zapory przeciwlotniczej z czasów wojny.

— Zaraz z lotniska Griaznucha-14 poderwą parę dyżurną — stwierdził Arkadij odprowadzając dinozaura wzrokiem.

— Albo po prostu przyłożą rakieta — odpowiedział Udałow, równie ponurym głosem.
I tak przepadło wielkie odkrycie.
Wszystkim chciało się płakać.
Dinozaur z wyciągniętą szyją zniknął za drzewami.
— I kto nam uwierzy? — chlipnęła Marina.
— Zostaną pierwsze doniesienia akademika Bujeraka — stwierdził pocieszająco Minc. —
O ile pamiętam, zdążył zgłosić informację o naszym odkryciu.
Ruszyli do domu. Zaczął padać deszcz. W koleinach szybko zbierała się woda i chlupało pod nogami.
Deszcz lał coraz rześśiej.
Wszyscy milczeli.
O czym tu rozmawiać? Strata energii była zbyt wielka. Moralnej i fizycznej.
Na placyku, wokół autobusowego przystanku gromadzili się ludzie pod parasolami. I oto zamiast autobusu zjawił się powoli opadający z nieba, przemoknięty i dlatego przeciążony jaszczur — największy ze znanych nauce brontozaurów.
Jadący ku przystankowi autobus musiał zahamować. Stojący w kolejce ludzie podnieśli gniewną wrzawę.
— Czyje to bydlę? — krzyczeli jedni.
— Niech ktoś zabierze stąd tego potwora! — wołali drudzy.
— Złożymy skargę! — krzyczeli jeszcze inni.
U nas z reguły najpierw się krzyczy, a dopiero potem myśli.
Pierwsza opamiętała się Marina.
Pozostali stali jak wryci, nie mogąc uwierzyć swojemu szczęściu.
A Marina błyskawicznie zdjęła pasek, którym miała przewiazaną francuską bluzeczkę, a potem zrobiwszy na nim pętlę zarzuciła ją na szyję dinozaura. I powlokła go za sobą.
— Ostrożnie! — zawołał za nią Minc.
Deszcz lał jak z cebra, na ulicach nikogo już prawie nie było.
Odkrywczy prawie przez nikogo nie zauważeni dotarli na dziedziniec miejskiego muzeum.
Było tam dość miejsca dla dinozaura.
Z okna wychylił się dyrektor.
— Zabierać mi to stąd! — zawołał. — Nie mam na to faktur!
— Będą! — zapewnił go Udałow.
Gdy tamci się spierali, Marina obeszła dinozaura dookoła. Był przepiękny.
W jednym z boków zobaczyła osobliwą niszę, zupełnie kwadratową, głęboką na mniej więcej dwadzieścia centymetrów.
— Jak mi dostarczycie dodatkowe przydziały na remont i kopułę, to wezmę to bydlę, a nie — to idźcie z nim do cyrku! — grzmiał dyrektor.
Minc podszedł do wgłębienia. Błonka zachowała ślady okuć i gwoździ.
— Będziecie mieli te swoje fundusze i faktury — powiedział. — A teraz chodźmy jeszcze raz na wzgórze.
Jego towarzysze początkowo protestowali, Marina jednak nie wątpiła w mądrość profesora. Po krótkiej dyskusji Arkadij poszedł za Mariną, a Udałow za Mincem.
Deszcz chłostał tak, jak na rycinie wielkiego japońskiego artysty Hokusai, który rysował jego strugi jako grube liny albo przeszywające wędrowców strzały.
Wędrowcy brnęli przed siebie i z pochylonymi głowami poddawali się bezlitosnej chłości żywiołu.
Wydawało się im, że droga nie będzie miała końca.
W lesie było jeszcze gorzej, bo drzewa bezbłędnie odgadywały, kiedy przechodzą pod nimi przemoczeni ludzie i wylewały na nich całe wiadra wody.
Minc niepokoił się myślą, co powiedzieć pracownikom organów bezpieczeństwa

państwowego i jak im wytłumaczyć swoją obecność. Ruszając w żywioł zapomniał zupełnie o warujących tam ludziach w czarnych kominiarkach.

Polana otworzyła się przed nimi dość niespodziewanie.

Od razu też zrobiło się jaśniej. Nie było na niej ani helikopterów, ani czekistów.

Nie znalazłszy niczego, co byłoby godne państwowej uwagi, odlecieli do Moskwy, żeby zająć się bardziej poważnymi sprawami.

Młodzi ludzie pomagając starszym pierwsi weszli do pieczary.

W niej właśnie żołnierze odpoczywali i czekali na dalsze rozkazy, a teraz światło latarek ujawniło obecność na ścianach i nawet na sklepieniu rozmaitych napisów i niezbyt cenzuralnych rysunków. A na ziemi były ślady gorącej zupy.

— To nic — orzekł Minc. — Dinozaura da się odtworzyć. To wielka radość!

Podszedł do czworokątnego występu w ścianie, gdzie niegdyś było podbrzusze brontozaura. Na poły zagłębioną w ścianie skrzynkę pokrywała wiekowa warstwa pyłu. Niełatwo było ją odróżnić od innych występów.

Wyciągali skrzynkę ze ściany z wielkim mozołem, ale w końcu przyjaciele jakoś sobie z tym poradzili.

Marina przypomniała sobie, jak to w dzieciństwie z drżeniem serca czytała o przygodach Tomka Sawyera w pieczarze, w której czaił się straszny Indianin Joe. Teraz wszystko ożyło w jej pamięci — tylko obyło się bez Indianina.

Zamek, który zamykał szkatułę, zardzewiał kompletnie i bez trudu dało się go odbić.

Skrzynkę wypełniały rozmaite szmaty, przeżarte przez wiek i mole. Kichając i pokaszując uczestnicy ekspedycji wyrzucili zawartość na ziemię.

Bali się rozczarowania. Nie można było przecież wykluczyć, że Krutojar trzymał w skrzyni tylko drogie szaty, które zdzierał z obrabowanych przez siebie podróżnych.

Na szczęście wewnątrz skrzyni znaleziono też zetlałe mieszki, pełne srebrnych, niepozornych monet.

— Kopiejki, półkopiejki i grosze — oznajmił Lew Christoforowicz. — Przedstawiają sobą wielką wartość historyczną, choć oczywiście kopuły z nich nie postawisz.

Ale na samym dnie skrzyni znaleziono dwie niezbyt wielkie sztabki złota. Odlane starannie, jak spod sztancy.

— Spod sztancy — stwierdził Minc.

— Skąd? — zdziwiła się Marina.

— Takie właśnie sztabki wydaje się podróżnikom w Instytucie Badań Temporalnych. Widocznie jeden z nich wpadł w łapy rozbójników. Podczas podróży w czasie trzeba zachować ostrożność. Dziękujemy ci, nasz nieznany kolego z przyszłości, który złożyłeś życie na ołtarzu nauki. Twoje złoto otrzymane na podróżne wydatki, pomoże nam zbudować kopułę, którą osłonimy dinozaura.

Przekazali złoto i srebrne monety do muzeum, a potem rozeszli się do domów. Wszyscy mieli początki anginy.

Od tamtych wydarzeń minęło pół roku.

Brontozaur stoi na dziedzińcu muzeum. Zbudowano nad nim szklaną kopułę. W Guslarze pełno jest japońskich turystów, a niedawno zjawił się Spielberg.

Liebediński pogodził się w zasadzie z żoną, ponieważ rozwód miałby zły wpływ na jego polityczny wizerunek, a nawet zamierza stawać do rywalizacji w wyborach gubernatora Wołogdy. Raz w tygodniu nagabuje uparcie Minca, by ten podzielił się z nim sekretem błonki i pamiętliwej wody. Nie odwołuje się przy tym do pomocy FSB, ponieważ zdaje sobie sprawę, że w tym przypadku łatwiej by mu było ugryźć się w łokieć niż dostać Nagrodę Nobla.

Minc utrzymuje, że temat jest jeszcze niedopracowany.

Pozostali żyją jak dawniej, o ile nie liczyć tego, że w przyszłym tygodniu Marina wychodzi za Arkadija.

Przełożył Andrzej Sawicki